

Wynagrodzę ci szkody lat

Grzegorz Gzik

Wynagrodzę ci szkody lat

Sądzisz, że ciągle o Nim mówię...
Ale Jego słowa mnie ożywiają [...]
To ja byłem tym trędowatym, którego On uleczył,
To ja byłem tym, z którego legion demonów wygonił,
To nade mną powiedział — ja ciebie nie potępiam,
I ze mną siedział przy stole, a do reszty mówił, że miłosierdzia
chce, nie ofiary.
To On zapukał do drzwi mojego serca i obiecał, że będę z Nim
w raju.
Więc to ja Ciebie pytam:
— jak mogę o Nim nie mówić?

Imiona głównych bohaterów tej opowieści zostały zmienione.

Wstęp

Jest majowy wieczór. Po prostu pięknie, wszędzie czuć zapachy natury, która obudziła się do życia po zimie. Kocham tę porę roku, gdy wszystko odżywa, ta eksplozja kolorów, zapachów. Wszystko znów zaczyna żyć od nowa.

Jestem w ośrodku dla osób uzależnionych i bezdomnych NLC (New Life Center) w Długiej Goślinie koło Poznania. Od jakiegoś czasu przyjeżdżam tu na dyżury, przed chwilą rozmawiałem z chłopakiem, którego znałem w przeszłości. Niedawno przyjechał tu na terapię, rozmawialiśmy o różnych rzeczach — trochę o przeszłości, ale też o przyszłości, o marzeniach itp. Znam go od wielu lat, kiedyś razem ćpaliśmy. Od tamtego czasu wiele się wydarzyło. Dziś on walczy o swoje życie — tak jak ja kiedyś...

Cicho zabrzęczał mój telefon— to moja narzeczona napisała, że dziś będzie dłużej pracować. Kochana dziewczyna. Nigdy bym się nie spodziewał, że tak wspaniałą kobietę poznam. Wkrótce bierzemy ślub i to też jest dla mnie cud. Zawsze chciałem mieć rodzinę, kochać i być kochanym, i poznałem kogoś naprawdę wyjątkowego— Monikę.

Patrząc na przyrodę, która wszędzie wokoło budzi się po zimie, wracam na chwilę do czasów, kiedy musiałem walczyć o siebie — zanim do mojego życia przyszła wiosna, wiele musiało się wydarzyć. Wiele dróg musiałem przejść, żeby znowu móc naprawdę się cieszyć.

Czasem w myślach wracam do tamtych dni. Wtedy nic nie wskazywało na to, że moje życie będzie wyglądało inaczej, a właściwie, że w ogóle będę żył.

To, że żyję, jest cudem Bożym; i właśnie o tym chcę napisać.

Może w mojej historii odnajdziesz część siebie, a może dotykają cię problemy podobne do tych, która ja przechodziłem kiedyś? Chcę bardzo, żebyś wiedział, że na pewno jest wyjście z każdej, nawet najbardziej nieprawdopodobnej sytuacji.

Niech ta historia będzie dla ciebie zachętą do walki o siebie, o wolność i radość, o marzenia i Boży pokój.

Chciałbym opisać swoją historię, opowiedzieć o tym, jak kiedyś żyłem, jak szedłem przez życie i co się stało po drodze. Poznałem wiele podobnych życiorysów i czasem myślę, po co jeszcze jedna taka książka? Tak wielu ludzi opisało podobne przeżycia, więc co ja mogę dodać? Ale jest pewna historia w Biblii, a dokładnie w Ewangelii Łukasza (8: 6-39), która mówi o tym, jak Pan Jezus uwalnia pewnego człowieka od demonów i zmienia jego życie. Na końcu tej historii Jezus mówi do człowieka, by wracał do swojego domu i opowiadał dokładnie o wszystkim, co Bóg dla niego uczynił. Myślę, że to jest wystarczający powód, dla którego napisałem tę książkę. W historii mojego życia nie chodzi o mnie. Głównym bohaterem nie jestem ja, ale osoba, którą spotkałem na swojej drodze; głównym bohaterem tej historii jest Jezus Chrystus i Jemu pragnę w tej opowieści oddać hołd. Przez moje życie przewinęło się też wielu ludzi, którymi On się posłużył. Dziękuję wam, że byliście, jesteście, i dziękuję też tym, których jeszcze na swojej drodze spotkam. Gdyby nie wy...

Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, nie wiem dlaczego niektóre rzeczy się wydarzyły. Niektóre wątki zakrył czas, a inne nie są już warte, aby do nich wracać. Pewne sprawy zostawiłem tylko dla siebie, gdyż są tak intymne, że rozmawiam o nich tylko z Bogiem. Nie chcę już tracić czasu w swoim życiu na myślenie o tym, co by było gdyby... Jest jak jest.

Dom

1

Moja historia zaczyna się 13 lutego 1977 roku w Słubicach. Wtedy przyszedłem na świat. Niewiele pamiętam z tamtych czasów. Moje pierwsze wspomnienie sięgają pobytu nad morzem. Wydaje mi się, że byłem wtedy szczęśliwy. Zapamiętałem, jak bawiłem się na plaży i moja zabawka (statek) zaczęła odpływać, a ja nie wiedziałem, co robić. Wtedy moja mama wskoczyła do wody i uratowała zabawkę. Była moją bohaterką!!! Następne wspomnienia to uliczne kiermasze, na których widziałem stopy komiksów — szybko je pokochałem. Mam jeszcze kilka takich pozytywnych wspomnień, ale już rzadko do nich wracam. Z każdym rokiem blakną, zacierają się, a i ja chyba nauczyłem się bez nich żyć. Moim rodzicom raczej nigdy się razem nie układało; niechętnie o tym mówili, nie chcieli do tego wracać, dlatego w tej części będzie dużo znaków zapytania, na które ja też nie znam odpowiedzi. Któregoś razu mama po prostu mnie spakowała i zostawiła ojca. Wyjechaliśmy do Orzysza. Mgliście pamiętam, że to był dla mnie beztroski okres, ale musieliśmy wrócić do Słubic. Nie pamiętam konkretnie, ile miałem wówczas lat, i dlaczego wróciliśmy. Nie wiem dokładnie, na jak długo wyjechaliśmy. Wiem tyle, że mój ojciec w międzyczasie znalazł sobie nową kobietę i zamieszkali razem w naszym mieszkaniu. Pamiętam dzień, w którym weszliśmy do domu. W ogóle nie wiedziałem, co się dzieje, i o co w tym wszystkim chodzi. Była jedna wielka awantura, krzyk, wyzwiska i nienawiść. Mama była zameldowana w domu, więc ojciec nie mógł nas wyrzucić ot tak sobie na ulicę. I tak dwupokojowy dom

został podzielony na dwie części. W jednym pokoju zamieszkał ojciec ze swoją konkubiną, a w drugim ja z mamą. Od tego dnia awantury, kłótnie, wyzwiska i bicie były moją codziennością. Wódka i nienawiść królowały. Moja mama nie piła często, ale gdy była nietrzeźwa, nie umiała się pohamować, prowokowała awantury i nie przebierała w wyzwiskach.

Gdy ojciec był pijany, to upadł się do granic możliwości. Nie raz i nie dwa razy leżał cały w moczu i cuchnący na klatce. Kiedyś przyszli do mnie dwaj koledzy i stali przed drzwiami, a mój pijany ojciec spał piętro niżej. Wiedziałem, że go mijali, i wiedzieli, że to mój ojciec.

Któregoś dnia wtargnął siłą do naszego pokoju. Pokłócił się z mamą o coś, po czym nagle wszedł. To było takie agresywne — wleciał i wyrwał lampkę ze ściany. Zmroziło mnie wtedy ze strachu, byłem jak sparaliżowany, a on ciągle wrzeszczał. Był taki brutalny, że lepiej było stać z boku.

Spokojne chwile w tym domu nie istniały. Nawet gdy rodzice się nie kłócili, to wyczuwało się napiętą atmosferę. To było takie czekanie, kiedy wybuchnie bomba, a zwykle długo nie trzeba było czekać. Najdziwniejsze były chwile, kiedy w kuchni przygotowywano jedzenie. Mama, zanim weszła do kuchni, nasłuchiwała, czy jest wolna, ale były dni, kiedy wszyscy musieli przebywać tam razem. Wówczas panowała bardzo napięta atmosfera: grobowa cisza i kwas w powietrzu. Tak samo było z łazienką. Nawet kiedy bojler się zepsuł, rodzice nie mogli się dogadać i naprawić go. Woleli gotować wodę w czajnikach. Pewnie do dzisiaj bojler jest tam zepsuty. Kiedy ktoś pukał, to była konsternacja, do kogo przyszedł. Znajomi, którzy nas odwiedzali, szybko wyrobili swoje szyfry. W tym domu nie było miłości ani pokoju. Nie chcę nikogo obwiniać ani osądzać, po prostu do dziś nie rozumiem, jak oni mogli tak żyć i jeszcze mnie w to mieszać. Czuję się wtedy taki mały i zagubiony. Wiedziałem,

że to mój tata, ale za nic nie mogłem zrozumieć, dlaczego ani razu nie próbował porozmawiać ze mną jak ojciec z dzieckiem. Był wycofany, jakby bez uczuć. Raz, gdy był pijany, zaskoczył mnie. Mijaliśmy się na klatce, a on zaczął mnie i zaczął coś bełkotać. Dał mi jakiś banknot i poszedł dalej zadowolony z siebie. Byłem w takim szoku, że wybiegłem na dwór i podarłem banknot. Nie pamiętam, żeby był inny moment w życiu, kiedy tak sam z siebie chciał pogadać.

Za to mama była nadopiekuńcza, co później nieraz bardzo mnie zawstydzano. Kiedyś w szkole podeszła do mojej dziewczyny i tak jej naopowiadała, że Inga od razu uciekła. Wiele lat minęło, zanim znów rozmawiałem z tamtą dziewczyną. Muszę natomiast przyznać, że mama dbała o mnie — zawsze byłem czysty i nakarmiony.

Tak wyglądał mój dom i to, co się w nim działo. Dziś, gdy na to patrzę z perspektywy czasu, to myślę, że wtedy zacząłem ukrywać swoje emocje. Wzbierał we mnie jakiś ból, niezrozumienie tego wszystkiego. Chyba podskórnie czułem, że nikt mi w tym nie pomoże, a ja nie umiałem dać sobie z tym rady, więc lepiej było przestać odczuwać, schować wszystkie myśli, uczucia, emocje i pytania gdzieś głęboko wewnątrz siebie i nauczyć się żyć w tej rzeczywistości.

Mama miała kilku znajomych i czasem szliśmy do nich, a nawet u nich nocowaliśmy. To były moje najszcześniejsze chwile. Mogłem choć trochę pobyc w normalnym domu, w zdrowej atmosferze. Nie lubiłem wracać. Chodziłem też do przedszkola i miałem na podwórku kilku kolegów. Lubiałem się z nimi bawić, organizowaliśmy wycieczki na koniec miasta albo na skarpy za miastem. Często po takich wypadach, mieliśmy „szlaban”, ale co tam. Myślę, że byłem fajnym dzieciakiem, lubiłem podróże i przygody. Jako jedynak musiałem często uruchamiać wyobraźnię i przeżywałem niesamowite przygody. Kiedy

poszedłem do szkoły, nawet mi się tam spodobało. Może nie tyle nauka, ile nowi koledzy z klasy i to, że nie musiałem być w domu. Szybko nauczyłem się czytać i zachłysnąłem się odkrywaniem komiksów, a potem powieści przygodowych. Dziś, gdy patrzę w przeszłość, widzę, jak mały Grzesiek znalazł ucieczkę z otaczającego go świata w inny świat, gdzie rodzice się nie biją, nie kłócą. Mogłem otworzyć książkę albo komiks i byłem daleko, daleko w innym świecie. Czasem szedłem do kina i to wkrótce też stało się moją ucieczką od rzeczywistości. Mogłem zamknąć oczy i odlecieć gdzieś daleko... Już wtedy, nie mając rozeznania, o co chodzi, podskórnie czułem, że tam, gdzie żyję, jest jeden wielki „syf”. Kiedyś musiałem zeznawać w sądzie przeciwko mojemu ojcu, mówić, że to prawda, że pije, bije itp. Nie życzę tego nikomu — nigdy. Kiedyś poszliśmy z kolegami do sklepu, miałem około 6 lat. Udało mi się ukraść paczkę cukierków. Wtedy chyba pierwszy raz komuś zaimponowałem. Nie traktowaliśmy tego jako kradzieży, raczej jako przygodę, a cukierki jako zdobyty skarb. Wróciliśmy do tego sklepu i kilka razy udało się znowu coś zabrać, oczywiście do czasu. Złapali mnie. Sprzedawczyni zaprowadziła mnie do kantorka i za chwilę weszła tam milicja. Może to śmieszne, ale prawdziwe — założyli mi kajdanki i zawieźli na komisariat. Oczywiście mama mnie odebrała i dostałem nieźle w tyłek. To był mój pierwszy kontakt z milicją.

Mniej więcej w tym samym okresie kilku starszych chłopaków z podwórka uciekło z domu. Ukrywali się przed rodzicami w budowanych blokach. Kiedyś mnie i kilku kolegów namówili, żebyśmy tam do nich przyszli, więc poszliśmy. Dali nam pięciolitrowy kanister i pieniądze i kazali iść do takiego „baru-mordowni” po piwo (było to we wczesnych latach osiemdziesiątych, a więc w czasach, kiedy takim dzieciakom jak ja sprzedawano piwo, jeśli się skłamało, że to dla taty). Udało nam się kupić

alkohol. W nagrodę mogliśmy się z nimi napić. Wtedy upiłem się po raz pierwszy. Nie wywarło to na mnie wtedy jakiegoś wielkiego wpływu, ale prawda jest taka, że jeszcze przed 10 rokiem życia miałem za sobą pierwszy kontakt z milicją i alkoholem. Wtedy było to coś w rodzaju przygody, takiego testu męskości. Ja miałem swoje pierwsze doświadczenia, pierwszych kolegów, a rodzice dalej żyli swoim życiem. Hodowali swoją wzajemną nienawiść do siebie. Chyba nawet nie zauważyli, że zacząłem przechodzić z wieku dziecięcego w wiek nastolatka.

W nauce nie szło mi najlepiej, zwykle po pięciu minutach słuchania odpływałem, po prostu nie mogłem się skoncentrować. Nie to, żeby lekcje mnie nudziły, odpływałem i już. Nie potrafiłem powtórzyć tego, co przed chwilą zostało powiedziane. Z matematyką ciągle miałem problemy. Ale lubiłem polski i historię. Na te przedmioty mogłem chodzić. Miałem w klasie kolegę, który jak ja fascynował się komiksami. Po lekcjach mogłem z nim godzinami rozmawiać o bohaterach tych opowieści. Zresztą i tak mi się nigdzie nie spieszyło, a już najmniej do domu.

Tam zawsze była napięta atmosfera i nigdy nie wiedziałem, czego można się spodziewać po przyjściu. Leżący ojciec na klatce, upity do nieprzytomności, albo kłótnia, którą słyszy cały blok — to było coś, czego mogłem się spodziewać. Już wtedy umiałem zagłuszać swoje uczucia albo po prostu udawać, że to się nie dzieje.

W miarę jak dorastałem, widziałem domy moich rówieśników (ogólnie w moim bloku mieszkali spokojni ludzie), i kiedy miałem okazję być u nich choć na chwilę, to dostrzegałem różnicę. Tam rodzice się nie bili, nie kłócili, nie było czuć wódki itp.

Kiedyś byłem u kolegi i ze zdziwieniem obserwowałem, jak rodzice rozmawiają ze sobą. Byłem w szoku — oni się szanowali. To był piękny, a zarazem dla mnie nowy widok — nawet

nie wiedziałem, że tak można. Gdzieś indziej oglądałem pokój kolegi. Miał swój pokój, miejsce, w którym mógł się bawić itp. Gdy wracałem do siebie, nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój dom jest jakby polem bitwy największych wrogów, bitwy, w której nie bierze się jeńców i nie wykazuje się litości. I ja w tym wszystkim. Nie rozumiałem, dlaczego nikt nie idzie na kompromis i nie próbuje tego zmienić. Nie rozumiałem, dlaczego mama nie weźmie zastępczego mieszkania, które podobno kilka razy jej oferowano, i po nie odejdziemy. Ale najbardziej nie rozumiałem, dlaczego ja jestem w tym miejscu.

Nie wiedziałem, jak sobie radzić, więc zagłuszałem swoje emocje i budowałem mur obronny, żeby nic złego się przez niego nie dostało. Zacząłem coraz bardziej uciekać w świat filmów, komiksów i różnych powieści. Pochłaniałem to wszystko hurtowo. Mój umysł się tym karmił. Uciekałem od rzeczywistości do bardzo odległych miejsc, gdyż tylko tak mogłem znieść rzeczywistość. Nie fantazjowałem jak niektórzy, że jestem z innej planety, i nie opowiadałem na głos jakichś niestworzonych historii. Raczej żyłem życiem bohaterów, które miało sens. Ludzie, których egzystencja jest „do bani” i nie mogą sobie z nią poradzić, szukają alternatywy. Czasem jest to seks albo alkohol, „drugi” bądź coś w tym stylu — coś, co pomoże uciec od rzeczywistości, w której się znajdują. Ja znalazłem swoją ucieczkę w inny świat.

Moi rówieśnicy z podwórka, w miarę jak dorastaliśmy, też zaczęli dostrzegać różnice między nami. Nasze rodziny były inne, nawet finansowo było widać te różnice. Nie zawsze miałem nowe rzeczy — takie, które akurat były modne. Choć żeby być szczerym, muszę przyznać, że mama starała się jak tylko mogła, abym miał to wszystko, co rówieśnicy. Miałem jednego przyjaciela, prawie jak brata. Zawsze jak się spotykaliśmy, byłem szczęśliwy. Chciałem spędzać z nim czas i robić to wszystko,

co robią w tym wieku przyjaciele. Mama zawsze dbała, żebym w domu miał pełno słodczy, i zawsze coś tam brałem na nasze przyjacielskie spotkania. Ktoś na podwórku powiedział mi, że Piotrek przychodzi do mnie tylko po to, żeby się najeść cukierków i poczytać komiksy, a jak mnie nie ma, to mnie obgaduje i ośmiesza. Zabolalo mnie to — bardzo... W domu było fatalnie, w szkole z nauką nie szło najlepiej, koledzy z klasy mieli swoich przyjaciół, a na podwórku przyjaciel mnie oszukał. Miałem wtedy około 12 lat.

Wtedy ukrywałem już emocje nawet przed samym sobą. A może najbardziej przed samym sobą? Bo niby co miałem zrobić? Prawdę powiedziawszy, lgnąłem do każdego, kto okazał mi odrobinę serca i zainteresowania. Nieraz, nawet w późniejszym życiu, dawałem się oszukać i wykorzystać tylko dlatego, żeby mieć kogoś, komu na mnie zależy. Tolerowałem wykorzystywanie mnie, tylko żeby ktoś się mną zainteresował. Nauczyłem się oszukiwać samego siebie, że jest w porządku. Tylko tak mogłem przejść przez to, co mnie otaczało. Miałem wokół siebie ciotki, kogoś z rodziny itp., czasem mi nawet współczuli, ale nikt nic nie robił poza wzdychaniem, że jakie to życie jest niesprawiedliwe. Nie lubiłem tego i do dziś nie lubię, kiedy ktoś tylko wzdycha, widząc czyjąś krzywdę albo rozpacz, a nie pomaga. To rodzi tylko złudne nadzieje, że jest ktoś, kto cię rozumie, ktoś, kto może ci pomóc i wyciągnie rękę. Rodzi się w tobie nadzieja, że nie będziesz sam. I co? Nasłuchasz się sapania, wzdychania, narzekania na życie, system itp., a gdy jest ciężko i tak jesteś znów sam w tym bagnie. Szczególnie działa to na dzieciaka.

Nie możesz obiecywać dziecku czegoś, czego nie chcesz zrobić.

Ale czasem jednak słońce zaświeciło u mnie w życiu. Szczególnie pamiętam piątkowe przedpołudnia, kiedy na długiej przerwie mama zabierała mnie na kurczaka z rożna, a na koniec były lody w polewie czekoladowej. To był wspaniały czas. Kochałem te piątkowe obiady. Mama poza domem była innym człowiekiem, częściej się uśmiechała i była pogodniejsza. Czasem bawiłem się z o wiele starszym od siebie kuzynem Zenkiem. On naprawdę akceptował mnie takim, jakim byłem. Niewiele było tych naszych spotkań, ale czułem się z nim bezpiecznie i mogłem być sobą.

Depeche Mode

2

Moje życie biegło z dnia na dzień do momentu, kiedy zaprosił mnie do siebie jeden sąsiad — to takie spotkanie, kiedy nie ma rodziców — i puścił mi piosenki zespołu Depeche Mode. Totalnie „odleciałem”. Ta muzyka miała w sobie coś elektryzującego, jakby poruszała wszystkie moje zmysły. Docierała do najgłębszych pokładów moich emocji. To tak, jakby dźwięki harmonizowały z uczuciami. Tylko tak mogę nazwać to uczucie. Od tamtej pory muzyka Depeche Mode dosłownie zawładnęła mną. Chyba każdy nastolatek ma swojego idola, a dla mnie ten zespół stał się wszystkim — dosłownie! Kupowałem ich płyty, słuchałem cały czas. Zacząłem upodabniać się do wokalisty zespołu, byłem jakby jego odbiciem. Ten zespół zdobywał coraz więcej fanów w Polsce i wkrótce w mojej szkole poznałem kilku „depeszy” (tak się mówiło na fanów tego zespołu). Był to wiek mojego dorastania. Wszystko zaczęło być takie fajne, miałem idola, którego kochałem, muzykę, która poruszała mnie do głębi. Zacząłem mieć coraz więcej znajomych z kręgu tej subkultury. Subkultura depeszy nie charakteryzuje się jakimś konkretnym przesłaniem bądź ideologią. Porównałbym to do czegoś w rodzaju hipisów lat dziewięćdziesiątych: muzyka, zabawa, alkohol itp., itd. Zacząłem być w szkole zauważany jako największy fan tego zespołu. Poznałem kilka dziewczyn i mogłem powiedzieć, że było nawet fajnie. Szkoła szła jakby swoim rytmem (dalej miałem problemy, ale coraz mniej się tym przejmowałem), w domu bez zmian — wojna na całego, ale zacząłem sobie jakoś z tym radzić. Jak? Właśnie muzyka

Depeche Mode wciągała mnie w inny świat. Czasem na dyskotekach szkolnych coś tam wypiliśmy, ale większej wagi do tego nie przywiązywałem. Kiedyś po jednej z takich właśnie dyskotek mój kolega, oczywiście depez, postanowił mnie zabrać do swoich znajomych. Poszedłem. Spotkałem tam chłopaków, z którymi na długo związałem swój los. Akurat trafiliśmy, na moment, w którym ta ekipa piła jakieś swojskie wino. Wypiłem z nimi i szaleliśmy tego wieczoru. Dla mnie było to coś wspaniałego, poznałem chłopaków takich jak ja, każdy był z innej subkultury muzycznej, ale byliśmy jakby jedno. Szybko się z nimi zaprzyjaźniłem i często ich odwiedzałem. Jeśli miałem jakichś innych kolegów, to poszli w odstawkę. Szczególnie zaprzyjaźniłem się z Danielem. Mogłem posiedzieć u niego w domu, on i reszta tej ekipy zawsze mieli jakieś szalone pomysły. — tam nie można było się nudzić. Na przykład potrafili czekać, aż będzie przejeżdżała policja, i w jednej chwili na dany sygnał wszyscy uciekali. Oczywiście policjanci, myśląc, że chłopaki coś wywinęli, zaczęli ich gonić. Jak w końcu kogoś złapali, to pytali, dlaczego wszyscy uciekają, a oni ze spokojem odpowiadali, że nie uciekali, tylko akurat bawili się w berka i tak wyszło. Tego typu „numery” sypały im się jak z rękawa. Było jeszcze dużo innych akcji, czasem bardziej ostrych, ale to już zostawię dla siebie. Daniel na bazarze mył szyby w autach, zamiast chodzić do szkoły, i zawsze po południu czekaliśmy na niego. Lubił wypić, a i ja coraz bardziej zacząłem to lubić. Było wtedy naprawdę dziko: muza na maksa, głośny śpiew i jakieś akcje. Zdarzały się też zadymy — nic poważnego, ale na drugi dzień nie zawsze pamiętało się, jak poprzednie popołudnie się skończyło. Raz poznaliśmy chłopaka takiego jak my, z tą różnicą, że miał 13 lat. Siedział pijany. Zagadaliśmy go, czy się z nami nie napije, zgodził się od razu. To był Przemek, dostał przezwisko Panku. Przemek w późniejszym czasie został moim pierwszym praw-

dziwym przyjacielem, takim, który jest z tobą nie tylko wtedy, gdy jest dobrze, ale zawsze. Czasem w późniejszym okresie może nawet po pijaku pobiliśmy się, ale nikt nie traktował tego na serio. Myślę, że w chwili, kiedy miałbyś problemy, chciałbyś mieć koło siebie Przemka. Tamtego dnia Przemek poszedł z nami na całość — i tak mieliśmy nowego w naszej grupie. W ogóle kolorowa była z nas ekipa: depez, punk, skin, a nawet metalowiec — mowa tu o różnych subkulturach muzycznych, które czasem nawzajem się zwalczały.

Ale było coś jeszcze ponad tym wszystkim, coś, co nas łączyło: nasze domy, nasze rodziny. Można było nazwać je patologicznymi. Nie będę opowiadał o innych, skupię się raczej na swoich sprawach. Zresztą słowa „patologia” wtedy nie znałem, a nawet jakbym je znał, to nie myślałbym o tym. Jedno było pewne: mogliśmy robić, co chcieliśmy, i nikogo to specjalnie nie obchodziło, i nikt nie miał na to wpływu. Nie mieliśmy żadnego autorytetu i wszystko wiedzieliśmy lepiej. Nasza paczka stała się postrachem, gdy szliśmy pijani. Mieliśmy już na koncie niejedną zadymę z kolesiami z innych podwórek. Kilka razy mieliśmy kłopoty z policją, zatrzymywali nas, jak wypiliśmy, i robiliśmy awantury. Kilka pał na otrzeźwienie i puszczali nas. Kiedyś ostro przesadziliśmy, wypiliśmy trochę tamtego poranka i energia nas rozsadzała. Weszliśmy do jednej ze szkół podstawowych i szukaliśmy zaczepki. Poturbowaliśmy kogoś, wrzeszczeliśmy, zrzucaliśmy obrazy ze ścian na korytarzu, wchodziliśmy na lekcje i w ogóle byliśmy agresywni. Oczywiście wezwano policję, która tego dnia nie żałowała pałek i pięści. Ostro i stanowczo wybili nam głupie pomysły z głowy.

Czułem, że mam najlepszych przyjaciół na świecie. Mieliśmy wspólne sprawy, zero kłopotów i zawsze byliśmy chętni na jakąś rozróbę. A jak nic nie znaleźliśmy, to kilka razy tłukliśmy się sami! I tak mijały mi dni. Tymczasem skończyłem szkołę

podstawową i poszedłem do szkoły zawodowej w Trzcielu. Zamieszkałem w internacie, daleko od swojego domu i jego spraw. Bardzo się cieszyłem, że już nie muszę tam być, i zawsze z radością jechałem na cały tydzień do Trzciela. Zdziwiająco, jak szybko się tam odnalazłem. Już w pierwszym tygodniu poznałem takich jak ja — którzy lubili wypić. Byli to chłopacy z internatu, ale szybko poznałem też miejscowych. Do szkoły chodziłem, ale jakoś mnie to nie ciągnęło i nie interesowało.

Trzciel to małe, położone na uboczu miasteczko. O takich miejscinach mówi się, że są zapomniane przez Boga. Nie wiadomo, co tam robić ze sobą w czasie wolnym, zwłaszcza jak się jest młodym dorastającym chłopakiem.

Od kiedy pamiętam lubiłem sport. W dzieciństwie na podwórku, nieraz całymi dniami graliśmy w piłkę, a w podstawówce często brałem udział w zawodach lekkoatletycznych i byłem w drużynie koszykarskiej. W Trzcielu nie mieliśmy nawet boiska! Ale w końcu znalazłem klub, w którym trenowano zapasy, i zapisałem się do niego. I tak dzieliłem życie na tydzień w Trzcielu i weekendy w Słubicach. W Trzcielu życie kręciło się wokół szkoły, internatu, zapasów; w wolnych chwilach włóczyliśmy się po barach i piliśmy piwo (było to w czasach, kiedy nikt nie pytał, czy masz skończone 18 lat), a kiedy wracałem do Słubic, zawsze czekali na mnie Przemek i Daniel i piliśmy w weekendy. Nie zastanawiałem się wtedy nad swoją przyszłością, brałem życie takim jakie jest, myślałem, że tak będzie zawsze: tanie wino, koledzy, śpiew, a czasem nawet jakaś dziewczyna. Do domu szedłem tylko zostawić rzeczy, które przywiozłem z internatu, a potem wracałem pijany i nieraz spędziłem pół nocy z głową w ubikacji. Dziś, jak na to patrzę z perspektywy czasu, to nie wiem, jak moja mama to zносиła. Facet, z którym wzięła ślub, żyje teraz z inną kobietą, mieszkamy razem, oni pije na umór, ja, kiedy tylko jestem,

też piję i spędzam w domu tylko niezbędne minimum czasu. Myślę, że nikt z nas nie chciał być w tym domu i wszyscy się tam męczyliśmy. Dlatego zawsze z radością wyjeżdżałem ze Słubic! Lubiłem być z dala od domu i tego wszystkiego. Fajnie było z ludźmi z Trzciela, lubiłem przebywać z nimi. Nie był to czas, kiedy piłem tak, że na drugi dzień miałem delirkę (*Delirium tremens*) albo jakieś inne objawy alkoholowego zespołu abstynencyjnego. Rano się wstawalo i szło do szkoły.

Toxic epidermal

3

Któregoś dnia na warsztatach zaczęły mnie piec oczy, z każdą godziną ich stan się pogarszał, pod wieczór zostałem zwolniony ze szkoły, żebym jechał do domu do okulisty. Ból stawał się tak silny, że nie mogłem patrzeć. Mój kolega ze Słubic jechał ze mną pociągiem do domu, bo sam już bym nie dał rady. Nic nie widziałem, a w do tego zaczęła mnie swędzieć skóra. Po przyjeździe poszedłem z mamą na pogotowie. Lekarze stwierdzili, że mam świerzb, i przepisali mi jakieś płyny do smarowania ciała, ale ból nie ustępował i na drugi dzień poszedłem pod eskortą mamy i kolegi do dermatologa. Ten, nie wiedząc, co ze mną zrobić, ponownie skierował mnie do szpitala na obserwację. Świerzb został od razu wykluczony. Po przyjeździe dostałem jakiś zastrzyk i zrobiło mi się lepiej; nawet zacząłem się lepiej czuć i żartować. To było w południe. Po obiedzie poszedłem do łazienki, wychodząc, splunąłem, bo coś mi zalegało, i wyplułem kawałek skóry z wewnętrznej części ust. Wracając do łóżka, czułem, że zaczyna się dziać coś niedobrego, temperatura zaczynała wzrastać i ogólnie czułem się fatalnie. Następne tygodnie pamiętam jakby urywane, we mgle i majakach — głównie z opowiadań mamy. Lekarka zobaczyła, że dzieje się ze mną coś niedobrego, wywozła mnie do szpitala wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. Jechaliśmy na sygnale, bo w karetce traciłem przytomność. Przyjęto mnie dopiero w trzecim szpitalu i od razu umieszczono na oddziale intensywnej terapii, gdzie zostałem podłączony do wielu kroplówek. Traciłem przytomność, a moje ciało zaczynało pokrywać się pęcherzami jak po

poparzeniu. Paznokcie zeszyły mi razem z rzesami wokół oczu, jakby się stopiły. Ja traciłem przytomność i na kilka chwil ją odzyskiwałem. Ból był tak wielki, że co godzinę wstrzykiwano mi morfinę. Wyłem z bólu i dusiłem się z braku powietrza, ale najgorsze było to, że w chwilach przeblasku świadomości widziałem ludzi leżących obok, wszyscy byli umierający i mieli wielkie rany, czuło się atmosferę śmierci i strachu. Lekarze nie wiedzieli, co mnie dopadło, robili badania za badaniami. Mama dojeżdżała codziennie. Raz przed świętami Bożego Narodzenia razem z mamą przyjechali moi kuzyni, którym pozwolono mnie na chwilę odwiedzić. Chcieli podzielić się ze mną opłatkami, położyli mi go na usta a on zmieszał się z krwią (cały czas pompowano mi krew, bo miałem ciągle wycieki z ran, które były na moim ciele, i podobno wyglądałem jak po poparzeniu). Kiedy byłem nieprzytomny, przyszedł ksiądz i udzielił mi ostatniego namaszczenia. Byłem w tak fatalnym stanie, że nic nie wskazywało na to, żebym z tego wyszedł. W końcu lekarze zdefiniowali moją chorobę: *Toxic epidermal necrolysis*. Do tej pory nie wiem, jak się tym zaraziłem i gdzie, nawet lekarzom trudno było coś na ten temat powiedzieć, ale wiedzieli już, z czym walczyć, i nie byli bezsilni. Podobno w czasie, kiedy ja zachorowałem, były tylko takie cztery przypadki i tylko przeżyły tylko dwie osoby — w tym ja. Uratowały nas młode organizmy, które miały siłę walczyć. Choroba zaczęła się cofać, a ja bardzo powoli odzyskiwałem przytomność. Po około miesiącu lekarze zdecydowali, że zdrowieję i można mnie przewieźć na normalny oddział. Byłem wtedy bardzo słaby, poruszałem się na wózku, a później o kulach. Ból stawał się coraz mniejszy, a ja czułem, że przeżyję. Moja mama codziennie była przy mnie i pomagała mi stanąć na nogi. Przez to wszystko strasznie posiwiiała i cierpienie miała wypisane na twarzy. Jednak poczuła też ulgę, że jest po wszystkim. W szpitalu wracałem powoli do sił i do życia.

Dowiedziałem się, że miałem ostatnie namaszczenie, i chyba wtedy zrozumiałem, jak było ze mną źle. Po kilku tygodniach mogłem wrócić do domu, byłem wtedy — po tym wszystkim — myślami gdzieś daleko, poza tym, co się stało, i dlaczego, ale nie znałem odpowiedzi. Dziwiło mnie tylko, dlaczego codziennie widziałem mamę, a ojca ani razu. Nawet jak po wszystkim wszedłem do domu i minęliśmy się, to nic nie powiedział. Zabolalo mnie to. Powoli wracałem do życia, sił mi przybywało i czułem się coraz lepiej. Choroba ukradła mi kilka miesięcy i trzeba było wracać powoli do życia, do szkoły. Po chorobie zostały mi paskudne blizny na całym ciele, twarz wyglądała fatalnie, a do tego wypalone rzęsy i paznokcie, które zeszyły i urosły jakieś nowe, popękane. Wyglądałem fatalnie. W szpitalu nikt nie zwracał na to uwagi, wszyscy byli szczęśliwi, że przeżyłem. Mama na łamach gazet dziękowała lekarzowi za uratowanie mi życia i w ogóle. Słubice żyły sprawą mojej choroby, podobno był to główny temat rozmów. Kiedy rozeszło się, że żyję i wróciłem do domu, wielu chciało mnie zobaczyć. Słubice to mała miejscina, więc ciężko było się ukryć, i kiedy szedłem przez miasto, czułem na sobie wiele spojrzeń. Szesnastolatek ze zmasakrowaną twarzą to koniec świata. Kiedy patrzyłem w lustro, nie mogłem wyjść z szoku, jak wyglądam, i pogodzić się z tym, że tak mi już zostanie na zawsze, a jeszcze wszędzie, dokąd idę, każdy na mnie patrzy. Wśród znajomych była krepująca cisza, bo co tu powiedzieć? Chyba bardziej od bólu w szpitalu cierpiałem, patrząc w lustro. Przez chwilę pojawiła się opcja operacji plastycznej, ale w 1993 roku nie był to luksus dostępny dla każdego. Trudno było mi z tym żyć, ale nie miałem wyboru. Powoli wróciłem do szkoły, ale czułem się fatalnie. Popadłem w straszne kompleksy, które towarzyszyły mi wiele lat. Nie dość, że ogólnie wstydzilem się za dom, w jakim żyję, to teraz jeszcze to! Byłem totalnie załamany. Jeśli kiedyś popijałem tylko

dla zabawy, to w tamtym czasie było mi to potrzebne, żeby jakoś patrzeć w lustro. O jakiegokolwiek znajomości z dziewczynami mogłem zapomnieć. Widziałem siebie ich oczami, brzydziłem się samym sobą. Nie chcę się za bardzo nad sobą użalać, ale to, co wtedy przechodziłem, odcisnęło na mnie straszne piętno w późniejszym życiu. Dom, którym nie ma się co chwalić, mój wygląd i nikogo, kto dałby mi zdrowe wsparcie. To było dużo jak na jednego człowieka. Zawaliłem też rok w szkole, bo przez wcześniejsze lekkie podejście do nauki, a później przez chorobę miałem wielkie zaległości i nie dałem rady tego nadrobić. Dla młodego człowieka nie ma nic gorszego jak niezadowolenie z własnego wyglądu; czasem jeszcze grupa coś dołoży. Wiadomo, że w tym wieku bycie lubianym i przynależność do jakiejś grupy są bardzo ważne.

Jeśli przeżywasz coś takiego, to proszę cię, nie załamuj się! Najważniejsze jest to, co masz w sercu, i to, kim naprawdę jesteś! Może myślisz, że to banal, ale tak nie jest, bo to, co cię definiuje, to właśnie to, kim jesteś. To jest widoczne na zewnątrz, choć czasem próbujemy coś zamaskować. Poza tym mamy Ojca w Niebie, który mówi nam, kim naprawdę jesteśmy (Psalm 139). Każdy z nas jest wyjątkowy. Nie musisz wstydzić się tego, kim jesteś, bo On cię stworzył i chce dla ciebie jak najlepiej. Może czasem nie jest tak, jak sobie wymarzyłeś (wymarzyłaś), ale wierz mi, On może daleko więcej, niż jesteśmy w stanie sobie wymarzyć. Być może też jesteś w takim momencie swojego życia, kiedy myślisz, że gorzej już być nie może. Pamiętaj, że nawet jeśli tego nie widzisz teraz, to nasz Ojciec w Niebie ma wszystko pod kontrolą i nic się nie dzieje bez przyczyny!

Nie znałem wtedy tych prawd, nikt mi o nich nie opowiedział, więc jakoś musiałem przebrnąć przez te trudne dla mnie zdarzenia i nauczyć się z tym żyć.

Wróciłem więc do życia i do szkoły. Znów jeździłem do internatu, płem po powrocie do Słubic, jakby nic się nie wydarzyło. Kiedyś w internacie w trakcie jednej z zadym pobiliśmy jednego chłopaka. Nie mocno, ale na tyle, że się wystraszył i uciekł z internatu w nocy w Polskę. A że był to chłopak z domu dziecka, to zrobił się z tego raban. Znaleźli go na drugi dzień gdzieś na autostradzie — łapał stopa. Za karę przenieśli mnie i mojego kolegę do innej szkoły w Skwierzynie. Tam na dzień dobry wyładowali „na dywaniku” u dyrektora, który dał nam do zrozumienia, że nie jesteśmy tu mile widziani i jeśli coś nawijamy, to nie będzie drugiej szansy. Jeszcze w ten sam dzień kolega z nowej klasy zaprosił nas do knajpy koło szkoły na piwo. W ciągu tygodnia zrobiliśmy imprezę i poznaliśmy w szkole i internacie „odpowiednie towarzystwo”.

Zadziwiające jest to, że mogłem jechać na drugi koniec Polski, a zaraz pojawiał się ktoś, z kim mogłem poimprezować. Nieraz mi się to zdarzało i zazwyczaj wszyscy mieliśmy podobne życiorysy. Tak więc zmieniło się miejsce, ale poza tym wszystko było tak jak w Trzcielu.

Szybko poznano, że lubimy imprezować i nie mamy żadnych ograniczeń. Wtedy zaczęły dziać się też inne rzeczy, bo otwarte zostały granice polsko-niemieckie i nagle wszyscy zaczęli przy-

jeźdzać do Słubic „na jumę” (czyli kradzież w Niemczech). Przyjeżdżały całe zorganizowane ekipy do Frankfurtu, który sąsiaduje z Słubicami. My też zaczęliśmy jeździć do Niemiec kraść rowery, radia samochodowe itp. W tamtym czasie te produkty kupowali prawie wszyscy. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że kradzież łatwo mi idzie — szczególnie kradzież z aut. W związku z tym chętniej zostawałem w Słubicach. Radia schodziły jak ciepłe bułeczki i sprzedawały się od reki. Jak nie sprzedałem ich na bazarze w Słubicach, to jechałem z nimi do Skwierzyny. Zapotrzebowanie na radia i rowery było tak wielkie, że o chodzeniu do szkoły nie było mowy. Jeździłem do Frankfurtu kraść, a do Skwierzyny sprzedawać.

W międzyczasie w Skwierzynie poznałem ekipę punków. Razem piliśmy i imprezowaliśmy całymi dniami. Za moje zachowanie wyrzucili mnie z internatu, ale nie przejąłem się tym i wynająłem stancję. Po jakimś czasie kradłem już wszędzie: w Niemczech, w Skwierzynie. Jedną ekipę miałem z Kostrzyna nad Odrą, gdzie nocami kradliśmy radia. Jeździłem tylko po tych miastach, zmieniałem ekipy i kradłem, jechałem do następnego miasta i tam sprzedawałem towar z poprzedniego miasta. Miałem swoich stałych paserów, meliny, na których spałem, i towarzystwo, z którym imprezowałem. W końcu wyrzucili mnie ze szkoły — za całokształt. Szkołę na pożegnanie też okradłem. Tak funkcjonowałem przez długi czas: kradzieże, picie, meliny, paserzy, ucieczki przed policją. Mamą niestety w ogóle się nie przejmowałem, liczyło się tylko, że jestem w końcu w czymś dobry i są z tego pieniądze, a ja dobrze się bawię i jestem znany z tego, że dobrze kradnę. Czuję, że mogę wszystko ukraść i wszystko zrobić. Miałem wiele pomysłów, ale na szczęście nigdy nie znalazł się nikt, z kim mógłbym je zrealizować.

W końcu złapała mnie policja. Byłem tak zuchwały, że przestałem być ostrożny. Złapali mnie w trakcie włamania w Kostrzynie, na gorącym uczynku. Po przesłuchaniu wypuścili mnie na drugi dzień, ale to mnie niczego nie nauczyło i kradłem dalej. Za tydzień, dosłownie na tej samej zmianie policji znów zostałem złapany razem z ekipą. Wtedy ostro nas potraktowali, nie żalując pałek. I tak powoli wszystko zaczęło się sypać, jakby w drugą stronę. Zaczęły się wpadki, policja znajdowała mój kradziony towar gdzieś w komisach i zaczęło być nerwowo. Dostałem zakaz pojawiania się w Kostrzynie, więc ze wzmoczoną siłą zacząłem kraść w Niemczech. Tam w końcu też mnie raz złapali. Przetrzymani na noc w areszcie, rano do prokuratora, przesłuchanie, wyrok w zawieszeniu, po czym zostałem wypuszczony. Za trzy dni znowu mnie złapali. Prokurator od razu mnie poznał i wysłał do więzienia. I tak oto wylądowałem pierwszy raz w więzieniu.

Pamiętam, jak tam jechałem; nie wiedziałem wówczas, co myśleć. Miałem koło 18 lat, właśnie jechałem do więzienia, i to jeszcze w Niemczech, nie znając języka. Kiedy skutki wchodziłem do bloku, otworzyły się okna ze świetlicy piętro wyżej (więźniowie mogli tam przebywać za dnia i widzieli, kto wjeżdża) i więźniowie spytali mnie po polsku, skąd jestem i za co tu trafiłem. Jak usłyszałem, że są tam Polacy, zrobiło mi się lżej. Pierwszą noc spędziłem z Bułgarem i Rosjaninem. Byłem tak zmęczony, że zasnąłem od razu. Na drugi dzień przenieśli mnie na oddział, na którym było więcej Polaków (w większości byli to chłopcy ze Słubic), dzięki czemu czułem się pewnie. Szybko się tam zorganizowałem i nauczyłem żyć w nowej rzeczywistości.

Pewnego dnia do mnie przyszła mama, płakała, narzekała, że wdałem się w ojca i co ze mnie wyrosło. Miała rację, ale

wtedy nie chciałem tego słuchać. Jej łzy bolały mnie i nigdy nie chciałem, żeby przeze mnie płakała, ale wtedy nie mogłem nic na to poradzić. Sam sobie nie mogłem poradzić z tym, jak moje życie biegło i dokąd zmierzało. Miałem około 18 lat, a piłem regularnie, paliłem już wcześniej haszysz, wyrzucili mnie ze szkoły, w Polsce miałem kuratora i kilka spraw w toku, a moja mama odwiedza mnie w Niemczech w więzieniu. Co mogłem jej powiedzieć? Że już nie będę? Sam w to nie wierzyłem! Jakby ktoś inny przejął stery mojego życia.

W grudniu wyszedłem z więzienia. Sześć dni później, gdy jechałem autem w Słubicach, zostałem zatrzymany do rutynowej kontroli i okazało się, że jestem poszukiwany listem gończym za niestawianie się na sprawy. Ambasada niemiecka nie wysłała pisma, że siedzę w ich więzieniu, więc polska prokuratura uznała, że się ukrywam i wystawała list gończy. Nawet tydzień nie byłem na wolności. Jeśli choć trochę się łudziłem, że mam jakąś kontrolę nad swoim życiem, to właśnie wtedy pozbyłem się tych złudzeń. Od tego dnia przez wiele lat przeplatały się więzienie, sprawy, listy gończe, areszty śledcze, tak że chwilami sam się gubię i płacze mi się wszystko. Mama, która zawsze wiernie mnie odwiedzała, zaczęła się przyzwyczajać, że jej syn to kryminalista. Odwiedzała mnie w więzieniu, ale już nie płakała, jak za pierwszym razem w Niemczech. Niestety tyle razy była na widzeniu u syna, że wielkie mury przestały robić na niej wrażenie. Kiedyś jechałem na sprawę i z policyjnego transportera dostrzegłem mamę, jak przechodzi koło sądu, jednak nie widziałem jej na sprawie. Mówiła potem, że widzenie to jedno, ale patrzeć, jak mnie sądzą, to dla niej za dużo. Doskonale ją rozumiem. Najgorsze, co może być dla rodzica, to oglądać, jak jego dziecko jest sądzone i skazywane, a potem widzieć je jeszcze w więzieniu: zamknięte, skazane, winne.

Tak sobie myślę, że jeśli robisz teraz coś w swoim życiu, co może postawić cię w sytuacjach, w których ja byłem, to zawróć natychmiast z tej drogi! Odwróć się od tego! Niech twoi najbliżsi nie cierpią z tego powodu. Często mówi się o przestępcach i ofiarach, a tak rzadko o ich rodzicach. Oni cierpią najbardziej i muszą się z tym borykać. A jeśli masz dzieci, pomyśl o nich, zanim cokolwiek zrobisz! One też poniosą konsekwencje Twoich czynów — i te dobre, i te złe.

Narkoman i lekoman

5

Tak mijало to moje życie. W końcu wypuścili mnie z aresztu z wyrokami w zawieszeniu, ale oczywiście nie robiło to na mnie wrażenia. Dostałem kuratora, którego unikałem.

Poznałem wtedy chłopaków, z którymi zacząłem kraść radia samochodowe w Słubicach, i szliśmy w tym na całego. Kradliśmy w dzień jak kamikadze. Z tej ekipy zaprzyjaźniłem się z Marcinem i nasza przyjaźń trwa do dziś.

Wówczas w jednej melinie poznałem smak amfetaminy, która zawładnęła mną na długie lata. Podczas picia ktoś rzucił hasło, że idą po amfę i żebym spróbował jej z nimi. Ten ktoś obiecał mi, że jak mi się nie spodoba, to odda mi pieniądze. Niestety, spodobało mi się, i to bardzo... Nigdy nie zażądałem od niego zwrotu pieniędzy.

Gdy bierze się pierwsze działki, to człowiek czuje się naprawdę dobrze, tak jakby miał niewyczerpane zapasy energii i pomysłów. Amfetamina tak mi się spodobała, że zawsze byłem na nią chętny i wiele osób namawiałem na nią. Za którymś razem znalazłem się w melinie, w której się tylko ćpało, i tam pierwszy raz wziąłem amfetaminę dożylnie. Od tej pory narkotyki brałem już tylko dożylnie.

Kradłem radia w dzień, a w nocy ćpałem. Alkohol już wydawał mi się za słaby, prochy dawały mocniejszego kopa.

Poznawałem nowych ludzi, nowe środowisko — narkomanów.

Poza zażywaniem amfetaminy paliłem jeszcze trawę, brałem tabletki *extasy* i wciągałem kilka razy kokainę, ale zakochałem się głównie w amfetaminie.

Kolesie, z którymi kradłem, nie zawsze mieli ochotę na twarde narkotyki. Wystarczała im wtedy jeszcze trawa, a ja już byłem tak zaawansowany, że prawie zawsze miałem przy sobie igłę i strzykawkę. Jeśli się z nimi nie nagrzałem, to szukałem innego towarzystwa — takiego, w którym „grzanie w żyłę” było normą. Niejedną noc spędziłem w obskurnych melinach narcomańskich.

Myślę, że dużo osób wciągnąłem w ćpanie, bo wszystkich wkoło namawiałem na to. Moje środowisko też zaczęło się zmieniać. Byli to ludzie, którzy żyli tylko ćpaniem — kręcili, kradli i sami siebie oszukiwali, żeby skombinować działkę. Kiedy amfetamina przestawała działać i trzeba było znowu wziąć, każdy sposób był dobry, więc i ja stałem się podobny do nich. W domu spałem już tylko sporadycznie i nie obchodziło mnie, kto i co o mnie myśli, byleby tylko „przygrzać”. Tylko to się liczyło. Wszedłem bardzo głęboko w ten świat, a właściwie stałem się jego częścią. Nie miałem takich myśli, że chciałbym przestać albo zmienić życie. Myślałem tylko o tym, żeby przyćpać.

Życie na trzeźwo było dla mnie nie do zniesienia, zwłaszcza gdy budziłem się u siebie w domu i patrzyłem na swoje życie, dzieciństwo, w tym domu, na to, co tam się działo, kłótnie, wyzwiska. Najsmutniejsze było to, że widziałem życie innych rodzin, które było całkowicie inne.

Narkotyki dawały mi poczucie iluzji. Po wzięciu można było jakoś znieść rzeczywistość, przywyknąć, albo w ogóle nie myśleć.

Czasem miałem przerwy od amfetaminy, którą zastąpiłem paleniem marihuany, ale to były tylko takie przerwy, żeby zregenerować siły. Jednym z ubocznych skutków brania amfetaminy jest to, że się nie śpi po nocach i nie chce się jeść. Gdy bierze się kilka dni z rzędu, to organizm zaczyna się buntować. Najgorsze są omamy, które występują na skutek braku snu i ogólnego

wycieńczenia. Zaczynają się różne paranoje, lęki itp. Słyszysz i widzisz rzeczy, które nie istnieją.

Wówczas parę dni odsypiałem i doprowadzałem się do stanu jakiegokolwiek używalności, ale kiedy się już zregenerowałem, ćpałem od nowa. W tamtym czasie zacząłem też zażywać silne tabletki psychotropowe, żeby wyciszyć organizm. Kiedy już byłem wycieńczony kilkudniowym braniem, a nie mogłem zasnąć, to te tabletki uspokajały mój organizm. I tak w kółko.

Od kiedy pierwszy raz wziąłem narkotyki, moje życie bardzo się zmieniło. Rano brałem amfetaminę, zazwyczaj był to długi maraton, do kiedy organizm się nie buntował, paliłem marihuanę, na wyciszenie brałem psychotropy. Od rana zawsze coś kradliśmy, a uciezki przed policją były normą. Moje środowisko zmieniło się. Wszyscy byliśmy jeszcze nastolatkami, a zarazem wyrachowanymi złodziejami, krętaczami. Robiłem się coraz bardziej bezwzględny, przekroczyłem już wiele granic, o co nie podejrzewałbym siebie wcześniej. Jednak najgorsze było chyba to, że mi się to opłacało. Ludzie chcieli kraść ze mną, czuli się przy mnie pewniej. Był okres, że miałem dwa pistolety gazowe i często z nimi chodziłem. Już nie pamiętam dokładnie, ale pewnego razu przekonałem się, że mógłbym ich użyć, strzelając do człowieka, i w chwili przebłysku pozbyłem się ich.

Miałem wyroki w zawieszeniu, a nie chodziłem do kuratora. O jakiegokolwiek uczciwej pracy nie było nawet mowy, więc w końcu odwiesili mi wyroki. Razem uzbierało się tego 6 lat i 7 miesięcy, a za parę dni przyszedł termin stawienia się do więzienia.

W dniu, w którym miałem stawić się do więzienia, pakowałem się i pamiętam jak dziś, jak mama wybuchła wielkim płaczem i wyszlochała: synu, jak ty sobie życie zmarnowałeś!

Było mi przykro, że tak cierpiała, i o gdybym mógł, to bym jej tego zaoszczędził.

Na dworzec odprowadzał mnie Przemek. Staliśmy, czekając na autobus, i panowała grobowa atmosfera. Kilka minut przed autobusem stwierdziłem, że póki żyję, nie dam się z własnej woli zamknąć w więzieniu!!!

Poszliśmy do najbliższego baru, zaczęliśmy pić i zaćpaliliśmy wtedy.

Na drugi dzień wynająłem mały pokój na poddaszu i zacząłem się ukrywać. Oczywiście ćpałem na maksa i kradłem bez zahamowań. Do mamy zachodziłem wieczorami. Trwało to kilka miesięcy, aż w końcu mnie złapali i zamknęli.

Wylądowałem w więzieniu na 6 lat i 7 miesięcy...

Byłem wycieńczony ćpaniem i wiecznym ukrywaniem się. Zwiedziłem wtedy kilka zakładów karnych: Gorzów Wlkp., Stargard Szczeciński, Czarne i Wierzchowo Pomorskie.

W więzieniu totalnie sobie nie radziłem bez prochów, wiecznie pod kluczem i w dodatku subkultury więzienne.

Raz zostałem zaatakowany nożem, ale nie oberwałem. Nigdy nic poważnego na szczęście mnie nie spotkało, ale też lekko mi tam z początku nie było. Ja byłem tylko zwykłym złodziejem, a siedziałem z mordercami, poważnymi gangsterami, ale przede wszystkim byli to ludzie pozbawieni skrupułów. Ciężko było mi to znieść bez narkotyków.

Z całego wyroku odsiedziałem około dwóch lat. Wszystkie moje wyroki weszły w tzw. włącz, co polega na tym, że jeśli przestępstwa były w krótkich odstępach czasu, to traktuje się je jako ciągłość przestępstw i daje jeden wyrok. Po dwóch latach znów byłem w Słubicach.

Moje nastawienie do narkotyków w więzieniu w ogóle się nie zmieniło i wiedziałem, że jak wyjdę, to znów będę ćpał. Nie raz wręcz fantazjowałem o tym.

W dzień wyjścia przyjechała po mnie mama samochodem i zabrała do domu. Zjadłem kolację, wykapałem się, założyłem

normalne ciuchy i wyspałem się łóżku. W domu ojciec nawet nie powiedział mi „cześć”, a atmosfera z dzieciństwa w ogóle się nie zmieniła, poza tym, że byłem już do niej przyzwyczajony. Rano poszedłem do kuratora zameldować się, a po wyjściu od razu wstąpiłem do znajomej dilerki. Niestety, już tam nie mieszkała i nic nie kupiłem. Spotkałem dwóch kuzynów, z którymi w ten dzień ostro popiłem. Nazajutrz pobiegłem do Marcina, z którym się wcześniej zaprzyjaźniłem, i do reszty znajomych. Spotkałem ich akurat, jak wracali z miasta, no i mieli prochy.

Chwilę przed moim wyjściem zaczęła się robić modna heroina, którą zażywano także w Słubicach. W tamten dzień wziąłem ten narkotyk pierwszy raz. Na podwórku zrobiliśmy imprezę, a na drugi dzień biegałem już z chłopakami po parkingach, żeby okraść jakieś auto i potem się naćpać.

Kurator kazał mi iść do pracy i coś z sobą zrobić. Nie chciało mi się pracować i robić tego co zwykli ludzie. Wydawało mi się to takie nudne, monotonne: praca, dom, obowiązki... Nie chciałem tak żyć, ale żeby nie wrócić do więzienia, musiałem coś z tym zrobić.

Nadarzyła się praca w myjni samochodowej. To była moja pierwsza uczciwa praca. Właściwie to moja mama pomogła mi ją załatwić. Jej znajomy akurat otworzył automyjnię i szukał kogoś. Muszę przyznać, że nawet polubiłem tę pracę, choć nie było łatwo. Siedziało się tam mokrym cały dzień, myjąc komuś samochody. Czasem przyjeżdżał ktoś znajomy i z początku było mi wstyd, że uczciwie pracuję, ale z czasem przywykłem. Oprócz wypłaty dostawaliśmy dosyć spore napiwki. Z czasem mieliśmy duże grono stałych klientów i na brak pieniędzy nie narzekałem.

Często brałem tam amfetaminę i paliłem trawę, ale z czasem coraz bardziej uzależniłem się od heroiny.

Przychodziłem czasem po całonocnych maratonach nakręcanych amfą, przebierałem się i pracowałem. Pod wieczór paliłem trawę i szedłem odespać poprzedni dzień, ale kiedy zaczęła się heroina, to poprzednie ćpania były jakby nudne — hera, to było to! Byłem po niej wyluzowany, mogłem się zrelaksować, spałem i, co było wtedy dla mnie najważniejsze, dawała mi porządnego „kopa”. Nikt z nas wtedy nie wiedział, jak heroina szybko i mocno uzależnia. Nazywano ją *brownem*. Wszyscy, którzy ją wtedy zażywali, podchodzili do niej z luzem, a nawet z nonszalancją i jestem pewny, że nikomu nie przyszło do głowy, że już wkrótce będzie w stanie zrobić dosłownie wszystko, żeby zdobyć następną działkę.

Kiedy zaczęło mi brakować heroiny, wpadłem na pomysł, żeby nią handlować. Oszukiwałem się, że to tylko taki dobry sposób na szybkie pieniądze, bo wszyscy biorą.

Stałem się dilerem heroiny. Handlowałem nią w myjni i zdarzały się sytuacje, że odchodziłem od mytego auta, bo ktoś przyszedł kupić towar. Efekt był taki, że koło myjni kręcili się narkomani, leżały strzykawki itp. Oczywiście ja sam byłem wiecznie na porządnym haju, więc uważałem to za dobrą zabawę, a po pracy szedłem do kogoś i się z nim „dobijałem”.

Któregoś dnia poszedłem do Marcina. Byłem już wtedy na ostrym haju i chciałem się z nim „dobić”. Wstrzyknęliśmy sobie w piwnicy, a potem zaprosiłem go na piwo. Pamiętam jeszcze, jak zamówiłem dwa piwa, i wtedy film mi się urwał.

Ocknąłem się na ławce. Marcin mi opowiadał, że upadłem i straciłem przytomność. Ktoś zadzwonił po pogotowie, ale on wziął mnie na siłę pod ramię i wyniósł z baru. Miałem dużo działek przy sobie. Gdybym z tym wylądował wtedy w karetce, skończyłoby się policją i więzieniem. To była moja pierwsza zapaść po narkotykach (jakiś czas później miałem kolejną, w łazience w domu). Nie wystraszyłem się, nie zrobiło to na

mnie wrażenia... Na drugi dzień zaraz po przebudzeniu znów brałem...

W tamtym czasie, gdziekolwiek poszedłem, prawie wszyscy grzali heroinę, wszystko przeliczało się na heroinę i świat kręcił się tylko wokół niej.

Zacząłem więcej ćpać niż sprzedawać, więc brałem z pracy zaliczki, a po pracy chodziłem kraść albo coś kombinować. Potrzebowałem coraz więcej towaru, żeby zaspokoić głód narkotykowy. Nie wytrzymałem w pracy, jak czegoś nie wziąłem, piłem wtedy piwo albo brałem jakieś leki i czułem się fatalnie prawie przez cały czas. Mieszkalem w domu z mamą, ale oczywiście nie dawałem jej pieniędzy, a jak była okazja, to jeszcze ją okradałem. Byłem w stanie każdego okraść za działkę.

Ludzie, od których brałem narkotyki na sprzedaż, zaczęli się upominać o pieniądze, a ja co miałem, to przećpałem.

Kiedyś sprzedałem ludziom tynk zdrapany prosto ze ściany na klatce jako dobrą heroinę.

Ciągle kombinowałem na prochy.

Któregoś dnia nie dałem rady wstać rano z łóżka. Byłem uzależniony, na głodzie, dłużnicy nie dawali mi spokoju. Parę dni wcześniej szef myjni wziął mnie na rozmowę i powiedział, że jeśli to prawda, że handluję w myjni, to wpierw zamknij mnie w kanciapie i nieźle mi dokopie, a później wezwie policję. Byłem wrakiem psychicznym, wycieńczony.

Powiedziałem wtedy mamie, że jestem tak uzależniony, że nie mam siły nawet wstać z łóżka, że rzucam pracę i muszę coś ze sobą zrobić.

Pierwsza terapia i rodzina

6

Kiedy człowiek jest naćpany, to widzi wszystko jakby w krzywym zwierciadle. Wszystkie problemy są takie nieważne i łatwe do przejścia, że odkłada się je na później, są takie przyziemne, że nie chce się nimi zajmować. Widzisz siebie jako kogoś, kim nie jesteś, wytwarzasz w sobie taką iluzję, że nie jest źle, a z ciebie jest naprawdę fajny gość. Zło zaczynasz nazywać dobrem. Jeśli okradło się kogoś z rodziny, to sumienie jakby umiera i nie myślisz, że zrobiłeś coś złego. Raczej się cieszysz, że udało ci się załatwić pieniądze na działkę.

Ale kiedy zaczyna się trzeźwieć, wszystko nagle widzi się w innym świetle: ruina życia, organizm wycieńczony do tego stopnia, że nie można patrzeć na siebie w lustrze. Zaczynają ci się przypominać wszystkie rzeczy, które zrobiłeś, i ciężko sobie z tym poradzić, a w moim przypadku byli jeszcze ludzie, którym byłem winny pieniądze za narkotyki.

Jedynym rozsądnym wyjściem dla mnie był wyjazd jak najdalej ze Słubic na terapię. Zwolniłem się z pracy i o 4.00 wyjechałem do ośrodka dla osób uzależnionych w Czechowicach-Dziedzicach. Tam pierwszy raz usłyszałem, że jestem narkomanem. Teoretycznie wiedziałem o tym, ale mieszkać z 20 takimi ludźmi jak ja, było dla mnie wstrząsem.

Pierwszy raz spotkałem ludzi, którzy brali kompot (bardzo silna polska odmiana heroiny). Byli to starzy hipisi. Większość z nich była nosicielami wirusa HIV. Nie czułem się lepszy od nich, właściwie to wielu z nich bardzo polubiłem i chciałbym ich jeszcze kiedyś spotkać, spytać, jak żyją i w ogóle. Czułem,

że jakbym dalej grzał heroinę, to też bym skończył z HIV-em. Nie umiałem się tam jednak odnaleźć.

Kilka dni po moim przyjeździe poznałem Maję. Przyjeżdżała do ośrodka na tygodniowe praktyki. Szybko znaleźliśmy wspólny język, a jeszcze szybciej zakochaliśmy się w sobie. W ośrodku panował względny luz, więc każdą wolną chwilę poza terapią i ośrodkowymi obowiązkami spędzałem z Mają. Efekt był taki, że nie zajmowałem się terapią tylko spotkaniami z moją dziewczyną.

Jej uczucie do mnie sprawiało, że czułem się kimś wyjątkowym. Poprzednie lata to przede wszystkim tylko kradzieże, narkotyki i meliny. Miałem świadomość, że normalna dziewczyna nie spojrzalaby na mnie, a jeszcze w dodatku wszystkie moje kompleksy, niskie poczucie wartości itp. sprawiały, że przez długie lata nie czułem się kimś specjalnie atrakcyjnym.

Zacząłem wierzyć, że dam sobie radę i nie muszę się leczyć. Terapeuci źle patrzyli na nasz związek i kazali mi na czas nieokreślony skończyć z Mają. Nie słuchałem ich i spotykaliśmy się po kryjomu, gdzieś na mieście. Efekt był taki, że ciągle musiałem kłamać o tym, co robię, i 3 stycznia 2002 roku wyrzucili mnie z ośrodka.

Zacząłem życie z Mają, pewny swych sił. Zamieszkaliśmy w Bielsku-Białej, przepięknym mieście, do którego mam słabość do dziś. Był to dobry okres w moim życiu. Daleko było od Słubic i problemów tego miasta, razem czuliśmy się wolni i szczęśliwi. Żyliśmy z Mają z dnia na dzień i z początku nie myśleliśmy, żeby się pobrać. Byliśmy wtedy zakochani na zabój i Maja któregoś dnia w przypływie spontaniczności oświadczyła mi się! Kulturalnie odwlekłem odpowiedź, bo miałem od zawsze przeświadczenie, że człowiek powinien raz w życiu się oświadczyć i raz się żenić. Miałem w swoim życiu mało wzorców i osobistych postanowień, raczej byłem z tych, którzy mają niewiele zasad i wartości, ale to akurat miałem wypisane na

sercu i chciałem zrobić to tylko raz, z kimś, z kim będę pewny, że spędzę resztę życia. Owszem kochałem ją, ale coś w głębi mnie alarmowało, żebym się wstrzymał.

Wkrótce okazało się że Maja jest w ciąży i będziemy mieć córeczkę. Nasi rodzice nigdy nie pochwalali tego związku, co później fatalnie odbijało się na nas.

Nie mogliśmy znaleźć pracy i ciężko było nam się utrzymać w Bielsku-Białej, więc spakowaliśmy się i pojechaliśmy do Słubic. Tam nikt nie czekał na nas z wyciągniętymi ramionami, ale w końcu krok po kroku, coś zaczęło się układać. We wrześniu 2002 urodziła się Sonia, przepiękna dziewczynka!!! Nie wiedziałem, jak wygląda rola ojca, ale byłem szczęśliwy.

Sonia była niezwykle pogodnym dzieckiem, miała w sobie tyle radości życia, czasem przyglądałem się jej z boku, patrząc, ile radości sprawia jej każdy nowy dzień. Wylapałem takie momenty, kiedy się budziła — jeszcze nie otworzyła oczu, a już się śmiała. Byłem dumny, że mam takie wspaniałe dziecko!!!

Nasza sytuacja zaczęła się normować, pojawiła się praca, wynajęty dom. Nasze rodziny po urodzeniu Soni jakby złagodniały. Żyłem życiem człowieka, który ma rodzinę, pracę, swoje obowiązki itp. Chwilami było ciężko, ale to był bardzo dobry okres. Po jakimś czasie wynajęliśmy inne mieszkanie. Sonia miała swój pokój, z Mają układało nam się bardzo dobrze.

Mieszkanie, które wynajęliśmy, znajdowało się obok domu, w którym się wychowywałem. Kiedy czasem wychodziłem na balkon zapalić papierosa, wspominałem te dni dzieciństwa, które chciałem zapomnieć. Obiecywałem sobie, że nigdy nie będę taki jak mój ojciec i nie stworzę Soni takiego piekła, przez które przechodziłem.

Kiedy byłem w Czechowicach-Dziedzicach, moja mama podjęła w końcu decyzję o wyprowadzce i przeniosła się gdzieś indziej, zostawiając ojca z jego Ewą.

Ewa nigdy nie była mi przychylna, kiedyś nawet wylądowałem przez nią na policji, bo oskarżyła mnie o kradzież magnetowidu z jej pokoju, co było nieprawdą. Gdy zobaczyła mnie na mieście, jak szedłem z Mają i Sonią, jej nastawienie jakby się zmieniło. Zaprosiła nas do siebie, żeby dziadek poznał swoją wnuczkę. Wiedziałem, że kiedyś przyjdzie ten dzień, i prawdę mówiąc, nie chciałem się z tym zmierzyć, ale faktycznie mój ojciec był już dziadkiem i dobrze by było, gdyby poznał wnuczkę.

Umówiliśmy się więc na spotkanie w najbliższą niedzielę. Ubraliśmy się na galowo i wyruszyliśmy. Każde zbliżenie do domu, w którym się wychowywałem, budziło we mnie dużo emocji i powstrzymanie się od ucieczki było dla mnie nie lada wyzwaniem. Z ojcem nigdy w życiu poważnie nie rozmawiałem i nie wiedziałem, o czym miałbym z nim teraz rozmawiać, ale postanowiłem dać mu szansę.

Pod blokiem Maja zostawiła mnie na chwilę z wózkiem i pobiegła na górę, żeby dziadek pomógł wnieść wózek bądź coś w tym rodzaju. Serce mi waliło jak dzwonił przed tym spotkaniem. Po kilku minutach Maja zeszła i powiedziała, że przyjdziemy następnym razem. Okazało się, że gdy zapukała do drzwi, otworzył jej mój ojciec i powiedział, że Ewka gdzieś na chwilę wyszła i żebyśmy przełożyli to spotkanie na kiedy indziej. Zrobiło mi się bardzo przykro, że ojciec tak nas zbył i nie stanął na wysokości zadania. Wiedziałem, że nie chciał sam z siebie tego spotkania, tylko został namówiony przez Ewę. Było mi też wstyd przed Mają, że mam taką rodzinę...

Nigdy więcej nie poszliśmy do nich i dziadek nigdy nie poznał swojej wnuczki. Prawdę mówiąc, on się nigdy nie starał, a ja przestałem.

Miałem wspaniałą rodzinę, z Mają mogliśmy liczyć na siebie. Sonia zaczynała stawiać pierwsze kroki i wypowiadać pierwsze słowa.

Wszystko było wspaniale, jednak mieszkanie w Słubicach mi nie służyło. Dusilem się tam. Marzyłem o powrocie do Bielska-Białej — tam czułem się wolny. W Słubicach, gdziekolwiek poszedłem, spotykałem starych znajomych, z którymi ćpałem i kradłem — po prostu byli wszędzie. Nie to, żebym ich szukał, ale w niewielkim miasteczku, jakim są Słubice, nie sposób być niewidzialnym. Z czasem ten światek zaczął przenikać i nas.

Uważałem się za kogoś, kto może miał kiedyś problem z narkotykami, ale byłem przekonany, że to już mnie nie dotyczyło. Kiedy Maja (albo ktoś inny) mi mówiła, że jestem narkomanem, to bardzo się oburzałem — wkurzało mnie to, że inni ciągle żyją przeszłością.

Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że mieszkanie w miejscu, w którym się całe życie „przećpało”, w mieście, w którym każdy kąt coś ci przypomina, a w dodatku utrzymywanie koleżeńskich kontaktów z ludźmi, z którymi się kiedyś ćpało, może być zgubne.

Czasem z Mają wypijaliśmy po piwie w weekend, kiedy Sonia spała u babci, ale z czasem moi znajomi zaczęli wpadać do mnie na kawę i prawie zawsze mieli marihuanę. Czasem paliliśmy, ale Maja umiała żyć bez tego.

Nasze życie płynęło niby dalej swoim torem, ale ja zacząłem popalać trawę coraz częściej. Kupowałem ją sobie w sobotę i po kryjomu paliłem. Nie wiem, czy Maja czegoś się wtedy domyślała, ale z czasem stało się to coraz częstsze. Paliłem już nie tylko w weekendy, ale w każdej nadarzającej się sytuacji, a że

tych sytuacji było dużo, to często byłem nietrzeźwy. Pracowałem dalej, zajmowaliśmy się domem i pozornie wszystko było jak zawsze.

Któregoś dnia straciłem pracę. Przyszła zima i przerwa w budowlance. Kazali się zgłosić na wiosnę. Maja w tym samym tygodniu też straciła pracę. Nie mieliśmy pomysłu, co dalej zrobić, bo rachunki trzeba było opłacić i mieć jakieś pieniądze.

Przypomniało mi się, że kiedyś jeden kolega proponował mi interes. Za dobrą cenę mógł mi sprzedawać amfetaminę, więc długo nie myśląc, wziąłem ostatecznie pieniądze i kupiłem od niego towar. I tak zacząłem handlować amfetaminą. To przynosiło takie pieniądze, że mogliśmy przetrwać kryzys. Mieliśmy dużo chętnych. Stałem się znanym dilerem i dużo sprzedawałem. Zima minęła i mogłem już to zostawić i wrócić do pracy, ale wołałem dilaować. Oczywiście sam też zacząłem brać. Póki powstrzymywałem się od brania, to były z tego pieniądze, ale z czasem więcej przećpałem, niż sprzedałem, i zaczęły się problemy.

Maja i Sonia powoli przestały mnie obchodzić, a co gorsza, nawet zaczęły mi przeszkadzać. Znowu widziałem wszystko w krzywym zwierciadle, wydawało mi się, że sprzedając narkotyki, dbam o rodzinę, że jestem taki zaradny. Wystarczyło jednak, że ktoś zadzwonił, a znikalem na cały dzień z domu pod pretekstem, że będę miał niezły interes, a tak naprawdę włóczyłem się po mieście i ćpałem. Maja wiedziała, po co wychodzę, i raczej nie oponowała, a jak wracałem z pieniędzmi to było OK. Nie wiem, czy to tolerowała, czy nie miała już sił. Fakt był taki, że gdy straciliśmy pracę, to omówiliśmy sprawę handlu i zgodziliśmy się, że na jakiś czas jest to wyjście z kryzysu finansowego, ale ja już nie zamierzałem przestać handlować narkotykami i jej zdanie już się nie liczyło. Ważne było tylko to, żebym miał amfetaminę.

Maja przejęła obowiązki wychowywania Soni, bo na mnie nie można było liczyć. Bardzo się od siebie oddaliliśmy.

Znowu ćpałem na maksa i nic nie mogło mnie powstrzymać. Kiedy zabrakło mi pieniędzy na prochy, to okłamywałem Maję albo po prostu ją okradałem. Nieraz ukradłem pieniądze przeznaczone na jedzenie albo na opłacenie stancji.

Były chwile, że chciałem przestać, ale naprawdę nie mogłem. Czasem wychodziłem na balkon i patrzyłem na blok obok, w którym się wychowywałem, patrzyłem na okna swego pokoju. Pamiętam, jak kiedyś sobie obiecałem, że nie stworzę Soni tego piekła, które sam miałem w dzieciństwie, ale niestety stworzyłem jej jeszcze większe piekło.

Maja miała mnie już serdecznie dosyć. Często się kłóciliśmy, pobiliśmy ją, policja wyprowadzała mnie z domu. Często też policja stała pod domem, czekając, aż mnie złapią na handlu narkotykami. Kiedyś okradłem człowieka, od którego wynajmowaliśmy dom.

To wszystko niestety odbijało się też na Soni. Stała się nerwowa, często płakała, bała się mnie, nieraz słuchała naszych kłótni. Kiedyś pobila jakieś dziecko w przedszkolu. Wiedziałem, że napatrzyła się na to w domu...

Chciałem to jakoś zatrzymać w sobie, ale nie potrafiłem. Zbyt dużo policji kręciło się koło mojego domu i musiałem przestać handlować. Zrobiłem to też dlatego, że Maja tego chciała. Chcieliśmy jeszcze ratować nasz związek, ale ciągle się kłóciliśmy. Była między nami już zbyt wielka przepaść, każde z nas szło już swoim torem. Ona żyła już swoim życiem i właściwie to już tylko mieszkaliśmy ze sobą. Dziecko nie wiedziało, co się dzieje, ale pewnie czuło, że coś jest nie tak, a ja sam czułem się obco wśród nich, czułem, że tracę je obie, ale nie potrafiłem tego zmienić. Zupełnie jakbym stracił wolę walki o moją rodzinę. Zrobiłem się apatyczny i zamknąłem się nawet na Sonię... Bar-

dzo ją kochałem i pamiętam czasy, kiedy nie mogłem się nią nacieszyć, ale niestety nawet to nie mogło mnie zmobilizować, a Sonia zaczęła mnie unikać...

W tym czasie, 1 kwietnia 2004 roku, zatrzymała mnie policja. Znaleźli świadków, którzy widzieli, jak handlowałem narkotykami. Po przesłuchaniu funkcjonariusze postanowili mnie wypuścić. Musiałem coś zrobić, bo cały świat mi się walił na głowę, i to dość potężnie. Z Mają co chwilę rozstawaliśmy się i schodziliśmy — jeden wielki obłęd! Moje życie było koszmarem. Cały czas brałem, może nie tak potężnie jak wcześniej, ale nienawidziłem być trzeźwy.

W końcu rozstaliśmy się z Mają. Straciłem ją i dziecko, a sam wylądowałem w następnym ośrodku dla uzależnionych w Nowym Dworku.

Nie chciałem się leczyć, choć było mi tam dobrze. Tak naprawdę pojechałem tam, żeby odsapnąć od Słubic i na spokojnie przemyśleć, co dalej ze sobą zrobić. Ponadto czekała mnie sprawa za handel narkotykami i wymyśliłem sobie, że jak przyjadę na sprawę z ośrodka dla uzależnionych, to sąd złapie się na to, że zrozumiałem swój błąd i się lecę, w związku z czym nie pójdę siedzieć.

Podczas pobytu w ośrodku chodziliśmy na spacer po lesie. Kiedyś mijalem krzyż, jeden z tych, które wiszą na rozstajach dróg. Popatrzyłem na niego i kiedy wróciłem do pokoju, wziąłem kartkę i napisałem:

Znów stoję sam na rozstaju dróg życia i patrzę na ciebie, wisisz na krzyżu i nic mi nie podpowiesz, a ja sam muszę wybrać, w którą iść stronę.

Każda ścieżka ma swoją dobrą i złą stronę?

Jak tak, to która?

... cisza!!!

Czekam... nic... tak dwa tysiące lat spędziłem

Potrzebuję cię teraz... słyszysz?

... cisza!!!

A ja już teraz muszę wiedzieć, już teraz muszę dokonać wyboru. Kto ma mi pomóc jak nie ty???

... znów diabeł???

Gziku

Napisałem to i odłożyłem kartkę do szafki. Zawsze wierzyłem w Boga, ale miałem wrażenie, że nie obchodzę go i że w drugą stronę też tak jest. Było jednak inaczej...

Jeszcze podczas pobytu w ośrodku sąd na wniosek Mai odebrał mi prawa rodzicielskie. To było dla mnie ostateczne potwierdzenie, że między nami koniec, choć czasem jeszcze myślałem, że jak Maja się dowie, że się lecę, to może się zejdziemy. Wkrótce potem była moja sprawa za handel narkotykami — dostałem 1 rok i 8 miesięcy odsiadki.

W ośrodku mi mówili, że nie pójdę siedzieć, bo się lecę, i mogę się odwołać od wyroku, ale już mi się tam nie chciało być i zacząłem sobie odpuszczać. W końcu i wychowawcy zrozumieli, że nic u nich nie zrobię i wyrzucili mnie. Pojechałem do Zielonej Góry, wynająłem pokój i przez 3 dni ćpałem na umór.

Za chwilę przyszedł list, że mam się stawić do więzienia, więc znowu się ukrywałem. Był pomysł, żeby uciec do Irlandii, ale zanim do tego doszło, zatrzymała mnie policja i znowu wyłądowałem w więzieniu...

Była wiosna 2005 roku. Siedziałem w areszcie śledczym w Międzyrzeczu i czekałem na transport do więzienia we Wronkach. W areszcie uwikłałem się w nieprzyjemną sprawę o pobicie współwięźnia. Sam go nigdy nie uderzyłem, ale inny koleś pod celą nie dawał mu spokoju.

Byłem wtedy odrętwiały, zajęty sobą. Zacząłem trzeźwieć po bardzo długim czasie zażywania narkotyków.

Myślałem o swoim życiu. Miałem 28 lat i znów byłem w więzieniu, straciłem rodzinę i wiedziałem, że jej nigdy nie odzyskam. Poza tym cały mój świat to tylko narkotyki, pijaństwo, kradzieże i odsiadki.

Chyba wtedy nie miałem żadnego normalnego znajomego, który by nie był od czegoś uzależniony, który by nie miał ciągłych problemów z prawem. Nikt poza mamą nie odwiedził mnie ani do mnie nie napisał. Lata ćpania zmęczyły mnie. Wiedziałem, że jestem ćpunem i sam sobie zmarnowałem życie.

Czasem też myślałem o swoim dzieciństwie i o tym, jak dużo widziałem alkoholu, kłótni rodziców... Myślałem o braku akceptacji wśród rówieśników, o tym, że właściwie nie miałem szans na normalne życie.

Z zewnątrz miałem pod celą hardą minę, ale w środku cierpiałem. Najgorsze były momenty, w których wyobrażałem sobie swoje wyjście. Nie miałem dokąd iść, nikt na mnie nie czekał i chyba nikt specjalnie nie ucieszyłby się na mój widok.

Nie miałem pomysłu na swoje życie, nie wiedziałem, co mam z sobą zrobić po wyroku.

Na którymś widzeniu moja mama powiedziała mi, że ja to albo skończę w piachu, albo w więzieniu. Miała rację. Moje życie zmierzało w tę stronę i wydawałoby się, że nic nie może tego powstrzymać...

Nienawidziłem swojego życia, dostawałem szału na samą myśl o wyjściu. Nie miałem dla kogo żyć i właściwie nikogo za to nie winiłem. Któregoś dnia postanowiłem popełnić samobójstwo. Nie było to pod wpływem emocji, nie poleciała łza ani nie zrobiło mi się smutno. Była to trzeźwa decyzja po przemyśleniu mojego życia. Nie wiedziałem jeszcze, jak to zrobić, wykluczyłem tylko od razu to, że się powieszę. Gdy myślałem śmierci, poczułem w sobie taki spokój, byłem pewny, że wreszcie podjąłem jakąś dobrą decyzję, że to się wreszcie skończy. Każdą osobę, którą kochałem, skrzywdziłem, każdy, kto w życiu okazał mi trochę miłości i zaufania, został przeze mnie wykorzystany.

Świat będzie lepszy, kiedy mnie nie będzie — tak myślałem. Nie będę już nikogo krzywdził i wreszcie wszyscy ode mnie odechną...

Prawdę mówiąc, wydał mi się to najlepszy pomysł, na jaki w życiu wpadłem, i bardzo mi się podobał. Moje życie nigdy nie miało według mnie sensu i nie widziałem powodu, dla którego miałbym żyć.

Pewnego dnia przenieśli mnie do innej celi. Siedział tam jeden chłopak z Zielonej Góry. Był bardzo nerwowy. Niby można było z nim porozmawiać, ale gdy tylko było coś nie tak, to od razu robił się agresywny. Ponadto był z innej subkultury więziennej i to też utrudniało normalne życie, więc atmosfera pod celą była często napięta. Wieczorami na chwile wyłączał się i potem mi mówił, że się modlił. To go uspakajało i powiedział, żebym czasem sam tego spróbował. No to któregoś razu spróbowałem. Odmówiliśmy razem ‚Ojcze Nasz‘ i ‚Aniele Boży‘. Właściwie niby nic się nie stało, nic nie poczułem i wszystko

było tak jak zawsze, a jednak nie wiedząc dlaczego, zacząłem codziennie odmawiać tę modlitwę, a nawet szedłem w tym kierunku coraz dalej. Pytałem Boga o różne rzeczy, dziś, prawdę mówiąc, dokładnie nie pamiętam, co tam wtedy szeptałem do Niego, ale to było wołanie o pomoc!

Na początku września pojechałem do Wroniek. To duże więzienie dla recydywistów.

Jakoś się tam zaaklimatyzowałem, ale moje myśli o samobójstwie były wciąż aktualne. Dziś, jak to wspominam, to wiem, że siły, żeby przetrwać ten okres, dawała mi ta krótka codzienna modlitwa. Bez niej bym nie wytrzymał i mimo że wtedy tego nie czułem, to jestem pewny, że Bóg dbał o to, żebym nie popełnił samobójstwa.

Okna z mojej celi wychodziły na spacernik więzienny i często patrzyłem przez okno w celi na to, co tam się dzieje. Myślałem sobie, że nie chcę być jak tamci więźniowie, których widziałem. Byli to już starsi mężczyźni, czasem po pięćdziesiątce, a nawet więcej. Mieli długie wyroki za sobą i praktycznie co chwilę wracali do więzienia. Więzienie stało się ich domem. Żartowali, śmiali się, zupełnie jakby byli na swoim podwórku — i chyba w jakimś sensie tak było. Kiedy się co chwilę tam się wraca i nie zagrzeje długo miejsca na wolności, to w końcu za murami ma się więcej kolegów niż na zewnątrz. Z czasem priorytety też się zmieniają i ludzie stają się częścią tamtego świata. To smutne, ale można przywyknąć do więziennych murów. Bywało, że w swoim życiu poznałem kogoś, kto spędził wiele lat w więzieniu i na wolności ciągle żył więziennymi zasadami! Wiem, że dla kogoś, kto nigdy nie był w więzieniu, to, o czym piszę, może być absurdem, ale tak jest.

Nigdy nie potrafiłbym tak żyć. Często, stojąc w tym oknie, wyobrażałem sobie, że jakby ktoś mnie teraz wypuścił, to wziąłbym plecak i poszedłbym nad morze, i szedł jego brzegiem tak

długo, jak tylko się da. Daleko od krat, beznadziejności, brudu tego świata.

Pod celą się uśmiechałem, ale w środku przechodziłem mękę. Poza tym cele były przepełnione i nie było chwili, w której mógłbym tak po prostu posiedzieć sam w ciszy. Moje serce, jak umiało, wołało wtedy do Boga. Potrzebowałem Go, ale nie wiedziałem, co zrobić, by On odpowiedział.

Pewnego dnia jeden z chłopaków pod celą powiedział, że można iść na spotkania, które są organizowane co tydzień. Robi je jakiś kościół i dają tam ciasto i kawę za darmo! Dostaliśmy od dyrektora więzienia zgodę na wyjście i któregoś dnia całą trójką się tam udaliśmy. Była to mała wspólnota chrześcijańska. Trochę nieswojo czułem się tam pierwszy raz, bo od razu dali nam śpiewniki i dużo śpiewaliśmy o Panu Jezusie. Później kapelan się przedstawił, spytał nas, o imię i tyle. Nie prawił żadnych morałów, choć myślałem, że będzie kazanie o tym, jacy jesteśmy źli itp.

Spodobały mi się te spotkania, poza tym można było wyjść z celi na jakiś czas. Na spotkaniach była zupełnie inna atmosfera. Nie liczyło się, kto za co siedzi, z jakiej jest subkultury. Panowała atmosfera radości i spokoju. Każdy przychodził tam z uśmiechem na twarzy, opowiadał, jak Pan Jezus działa w jego życiu i co w tym tygodniu z Nim przeżył. Później tradycyjnie dużo śpiewania, a w międzyczasie pastor dzielił się jakimś fragmentem z Biblii.

Tam też dostałem swój pierwszy Nowy Testament — gedeonitkę. Gedeonitka to Nowy Testament, zazwyczaj wydawany w wersji kieszonkowej jako mała, najczęściej niebieska książeczka. Drukiem i dystrybucją zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Gedeonitów (ang. The Gideons International), organizacja związana z ewangelicznym nurtem chrześcijaństwa, zajmująca się rozpowszechnianiem Nowego Testamentu w takiej właśnie formie w hotelach, szkołach, szpitalach, wśród osób prywatnych albo właśnie w więzieniach.

Wziąłem gedeonitkę ze sobą i czytałem pod celą. Z początku ludzie trochę się ze mnie śmiali, ale szybko sobie odpuścili, za to ja, kiedy czytałem Nowy Testament, przenosiłem się w inny świat — kraty znikaly, a ja poznawałem Jezusa.

Tak naprawdę pierwsze czytanie Ewangelii szło mi opornie. Chciałem przeczytać ją jednym ciągiem, jak zwykła książkę, i nic z tego nie rozumiałem. Kiedy czytałem np. Ewangelie Mateusza i szedłem dalej, to historia opisana wcześniej, w innych Ewangeliach wydawała mi się podobna, ale jednak inna. Przeżywałem katusze, czytając to, ale dzielnie szedłem do przodu. Na szczęście na piątkowych spotkaniach pastor i chłopacy tłumaczyli mi wszystko. Bardzo podobały mi się Listy z Nowego Testamentu.

Coraz bardziej poznawałem Pana Jezusa, zaczął mnie fascynować tym, jak starał się o ludzi, jak dbał o nich, nawet wisząc na krzyżu, miał serce dla innych. Stał się dla mnie żywy, nie tylko znałem go już tylko z kart Biblii, ale też ze opowiadań chłopaków.

Cieszyło mnie to, że Jezus nikogo nie skreślał, nawet mnie!!!
A nawet więcej; poświęcił swoje życie za mnie!!!

Nie rozumiałem jeszcze tego wszystkiego tak, jak teraz, ale to, jakiego Jezusa poznałem wtedy, tchnęło we mnie życie.

Na jednym ze spotkań był chrzest wodny dla chłopaków, z którymi chodziłem na spotkania. Przyjechali ludzie z kościoła w Poznaniu, był też jeden misjonarz z USA. W trakcie tej uroczystości zapytano nas: kto chce swoje życie oddać Panu Jezusowi? Pamiętam jak dziś, kiedy wystrzeliłem z jednej z ostatnich ławek na sam środek sali i powiedziałem, że chcę oddać swoje życie Jezusowi!!! Było to w 2007 roku.

Nie wiedziałem dokładnie, co znaczyło oddanie swojego życia Jezusowi, ale wiedziałem jedno: że moje życie to totalne bagno i tylko Jezus może mi pomóc. Rozpaczyłem go potrzebowałem. Nie chciałem żyć tak, jak żyłem, i potrzebowałem

go, podobnie jak ci ludzie z Biblii, którzy spotkali go na swojej drodze!!! Muszę tu przyznać zupełnie szczerze, że wtedy nie miałem jeszcze pełnej świadomości, co Pan Jezus dokonał na krzyżu, że poświęcił całego siebie, żebym był zbawiony (uratowany) z każdego mojego grzechu, że zostałem wyratowany od wiecznego potępienia, jakim jest piekło i wieczne oddzielenie od Boga. W tamtym momencie najważniejsze było dla mnie to, że nie radzę sobie z życiem, umieram za życia oraz desperacko szukam pomocy!

Czułem, że wydarzyło się coś ważnego i że teraz musi się zmienić na lepsze!

Po nabożeństwie wszyscy gratulowali mi tej decyzji i cieszyli się chyba nawet bardziej niż ja. Słuchałem ich i zorientowałem się, że chyba skupiam na sobie większą uwagę niż ci, którzy zostali ochrzczeni. To dodawało powagi sytuacji. Porozmawiałem też z tym misjonarzem z USA. Miał na imię Paul i właśnie przyleciał prosto, bodajże z Chicago, na chrzest. Bardzo mnie to dotknęło, że ludzie jadą taki szmat drogi, żeby być z nami w ten dzień.

Kiedy wróciłem pod celę, nikomu nie mówiłem, co się wydarzyło, bo właściwie sam nie mogłem sobie tego jeszcze poukładać, ale pamiętam, że to był wspólny dzień — i tak też się czułem!!!

Po paru dniach poszedłem do innej celi. Zapisalem się na kurs ogrodnika. Tam pod celą niestety czasem brałem amfetaminę i paliłem marihuanę, w ogóle paliłem też nałogowo papierosy.

Piątkowe spotkania traktowałem poważnie, codziennie czytałem Biblię i modliłem się, ale nie potrafiłem definitywnie skończyć z nałogami.

Cieszyłem się, kiedy były dni bez prochów i mogłem się poświęcić poznawaniu Słowa Bożego, ale niestety szybko ulegałem namowom i znów coś tam zażywałem.

Chciałem w końcu coś z tym zrobić, ale ciężko zerwać z narkotykami pod celą.

Rozmawiałem o tym z pastorem na spotkaniach i on zaproponował mi po wyjściu terapię w jakimś ośrodku chrześcijańskim. Zgodziłem się.

Wówczas napisałem list do ojca, poinformowałem go, gdzie jestem i za co.

Napisałem też, że było mi przykro, że nigdy się mną nie zainteresował, że nigdy nie zachował się jak ojciec, ale postanowiłem mu wybaczyć! Po kilku tygodniach przyszła odpowiedź, coś w stylu: synu, sam wiesz, jak było itp.

Czułem, że ojciec specjalnie nie przejął się moim listem i chyba nie miał sobie nic do zarzucenia, więc ja też mu się nie narzucałem.

Pod celą poznałem fajnego chłopaka, Dominika. Był Cyganem. Czytał Biblię i też się nią fascynował, ale wolał chodzić na spotkania Świadków Jehowy bo, jak mówił, tam spotykają się jego ziomki. Często godzinami rozmawiałem z nim o Słowie Bożym i muszę przyznać, że w pewien sposób był on dla mnie ogromnym wsparciem w tamtym czasie.

Wróciła mi też chęć do życia!!! Zauważyłem, że już nie myślę o samobójstwie, ale często myślę o życiu, a zwłaszcza o Jezusie. To dodawało mi wiary, że jeszcze nie wszystko skończone, że jeszcze dla mnie są przygotowane dobre dni!

Zauważyłem, jak zmieniły się moje myśli o Mai, matki mojego dziecka. Na początku odsiadki myślałem o niej jak o najgorszej kobiecie pod słońcem, ale z czasem, jak poznawałem Boga i On zaczął mi pokazywać różne rzeczy z przeszłości, zacząłem widzieć swoje postępowanie i zrozumiałem, dlaczego mnie zostawiła. Sam zrobiłbym to samo!!!

Doszła do mnie też wiadomość ze Słubic, że jedna z moich koleżanek nie żyje, utopiła się w 100 mililitrach własnej śliny.

Była tak naćpana, że upadła na klatce schodowej na plecy i ślina się cofnęła, co było przyczyną jej śmierci. Miała około 25 lat i zostawiła małe dziecko... Bardzo ją lubiłem i było mi smutno, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci. Następna ofiara heroiny.

Dni szybko mijały i zbliżał się 18 kwietnia 2008 roku, czyli dzień końca mojej kary. Powoli szykowałem się na wolność. Z ośrodka, do którego miałem jechać po wyjściu, przyjechało dwóch wychowawców, aby przeczytać mi regulamin, jaki obowiązuje u nich w ośrodku. Regulamin obejmował około 36 punktów, z czego większość to były zakazy, a jak mi przeczytali, że czas pobytu w ośrodku to 2 lata, załamałem się.

Właśnie kończyła mi się odsiadka, spędziłem kilka lat w więzieniu i po opuszczeniu go miałem jechać znów na terapię i dać się zamknąć? A do tego ten regulamin!

Wróciłem pod celę z nie najlepszym humorem.

Wówczas miałem sen. Śniło mi się, że lecę samolotem i nagle okazało się, że jest awaria, a ja muszę awaryjnie skakać. Po wylądowaniu w lesie czułem całym sobą wielki, paraliżujący strach. Wiedziałem, że muszę uciekać. Goniły mnie chmary żywych trupów. Nagle znalazłem kryjówkę, w której był jakiś mężczyzna. Było to coś w rodzaju małego namiotu, który się zwęźał niczym tunel i był zrobiony z chwastów, cierni i wszystkiego, co ma ostre końce. Wchodząc tam, mogłem schować się przed zombi, ale była to jednocześnie pułapka, gdyby mnie znaleźli. Długo nie myśląc, schowaliśmy się tam, a wejście było zakryte starą szmatą. Niestety zombi nas znalazły i zaczęły wchodzić do szalasu, a my, żeby od nich uciec, cofaliśmy się w drugi koniec namiotu. Robiło się coraz ciasniej i w końcu byłem cały pocięty od cieni i krwawiła mi skóra. Byłem w pułapce, w która sam wszedłem. Wiedziałem, że sam

się w to wpakowałem i że zginę. Obudziłem się wystraszony — wiedziałem, że ten sen był od Boga i że on mnie przed czymś ostrzega! Niestety, z czasem ten sen się ulotnił, a ja miałem gorzko żałować, że nie potraktowałem go poważnie.

W końcu przyszedł dzień wyjścia. Pożegnałem się z ludźmi z przysięgą w sercu, że już nigdy więcej nie wrócę do więzienia.

Poszedłem na dworzec, wdychając świeże powietrze i ciesząc się pogodą, ale w myślach miałem zamęt — co dalej robić z sobą? Jechać do Słubic, znów zamieszkać z mamą i wrócić do wszystkiego, od czego chciałem uciec, czy jechać do tego ośrodka na dwa lata?

Prawdę mówiąc, żadna z tych opcji mi się nie podobała. Kupiłem dwa piwa na drogę do Poznania i rozmyślałem, co zrobić. Poznań to miejsce, gdzie będę musiał zdecydować, dokąd mam kupić bilet.

Wybrałem Słubice. Czulem, że to fatalna decyzja, ale nie byłem gotów na ośrodek i nie chciałem znów dać się zamknąć na terapii. Już w drodze do Słubic zacząłem ostro popijać. Zadzwoiłem do mamy, że będę pod wieczór, ale niestety nie dotarłem na noc do domu. Po wyjściu na przystanek poszedłem prosto do Przemka i ostro piliśmy przez całą noc. Nad ranem zapukałem do drzwi mamy. Kiedy otworzyła, była na mnie wściekła i zaczęła mi ostro mówić, co o mnie myśli.

Mogłem wybrać ośrodek, ale było już za późno.

Przeszedłem się po mieście, ale już nie czulem się jak u siebie, jakbym tam już nie należał. Było pełno nowych młodych narkomanów, nie znałem prawie nikogo, zresztą nie obchodziło mnie to, bo już narkotyki się dla mnie skończyły. Zamieniłem je na alkohol — zacząłem ostro pić.

Nie mogłem odnaleźć się w tym mieście. Kiedyś poszedłem pod blok, w którym wynajmowaliśmy mieszkanie z Mają, ale tam mieszkał już ktoś inny.

Naprawdę szukałem jakiegoś rozwiązania, ale nie mogłem znaleźć nic, a w dodatku okazało się, że mam zaległego kuratora i on (a właściwie ona, bo to była pani kurator) nie dawała mi spokoju. Nie chciała albo nie umiała mi pomóc, ale dużo ode mnie wymagała i muszę przyznać, że nie polubiłem jej. Poza tym mieszkalem znów z mamą w jednym pokoju (kilka lat wcześniej wyprowadziła się z dawnego mieszkania i zamieszkała w kawalerce). Jak popiłem i nie wracałem wieczorem do domu, to zamykała mieszkanie więc nieraz spałem na klatce.

Czasem przypominałem sobie, co przeżyłem w więzieniu i jak dobrze mi było z Jezusem, ale Biblia leżała w kącie, a ja nie mogłem jej otworzyć. Byłem pewny, że zawiodłem Boga i po tym, co z nim przeżyłem, po prostu czulem się jak zdrajca. Czasem próbowałem się modlić, ale mi nie wychodziło.

Czulem się fatalnie i znów wróciło do mnie poczucie beznadziejności. Zawiodłem na całej linii — nawet samego Boga!!! Przestałem myśleć, że cokolwiek mi się uda. Przypomniał mi się sen, który miałem przed wyjściem z więzienia, i moment, w którym byłem w namiocie — pułapce bez wyjścia — i tak się czulem. Poznałem wtedy pewnego mężczyznę, który był na delegacji w Słubicach. Pracował na budowie, jednocześnie stróżując w nocy na niej. Damian też był alkoholikiem i pił codziennie. Często u niego przesiadywałem. Bardzo się wtedy rozpiłem, spędzałem tam całe noce i dni, w ogóle nie trzeźwiejąc. Doszedłem do takiego stanu, że jeśli rano nie wypiłem, to miałem *delirium*.

W wigilię 2008 roku nie poszedłem nawet na wieczerzę do mamy, tylko chlałem. Miałem w tę noc pierwszą padaczkę alkoholową, ale nic sobie z tego nie robiłem.

Rozmawiałem z Damianem o tym, że chciałbym przestać pić, bo się zapiję, ale wiedziałem, że w Słubicach mi się to

nie uda. Powiedział, że ma znajomych w Krakowie, u których moglibyśmy zamieszkać, a potem znaleźć jakąś pracę i zacząć wszystko od nowa. Spodobał mi się ten pomysł i namawiałem go, żeby dał mi adres do swoich przyjaciół albo jechał ze mną.

I tak na początku 2009 roku wylądowaliśmy w Krakowie. Jak tylko wysiadłem z pociągu, znów chwyciła mnie padaczka alkoholowa i zabrało mnie pogotowie.

Na drugi dzień okazało się, że Damian nie miał znajomości w Krakowie i wszystko to były tylko pijackie wymysły.

I tak na własne życzenie stałem się bezdomnym w Krakowie. Jadałem w jadalniach, spałem w noclegowniach i cały dzień włóczyłem się po zaśnieżonych ulicach.

Któregoś dnia, gdy stałem w kolejce na jadalnię, przechodzili jacyś ludzie ze złomem i śmiali się z nas, że tacy młodzi, a stoją w kolejce po zupkę. Ale mi było wstyd!!! Gdybym mógł, to zapadłbym się pod ziemię!!!

Kiedy przychodziłem na noc do noclegowni, spaliśmy wszędzie, gdzie było wolne miejsce. Sam kilka nocy spędziłem na podłodze w łaźni — rozkładało się materac na ziemi i tak spaliśmy. Często obserwowałem moich towarzyszy niedoli i muszę przyznać, że większość z nich wylądowała na ulicy tak samo jak ja — na własne życzenie. Lata pijaństwa, niszczenia siebie samego i wszystkiego wokół doprowadziły tych ludzi do bezdomności i ruiny duchowej.

Śpiąc na tej noclegowni, nie mogłem oszukać samego siebie, że moje życie jest w porządku, ale bardzo nie chciałem, żeby tak się skończyło.

Nie mogłem pojąć, o co właściwie chodzi z moim życiem, z całego serca pragnąłem żyć inaczej, chciałem mieć normalne życie, kochać, być kochanym, mieć dla kogo żyć. Bardzo chciałem mieć cel w życiu, ale żyłem zupełnie odwrotnie. Zawsze jakby jakaś mroczna siła pchała mnie w dół.

Moje życie było destrukcyjne i sam nie mogłem dać sobie z nim rady, zupełnie jakbym szukał śmierci i nie umiał tego zatrzymać...

Zacząłem szukać jakiegokolwiek pracy. Wchodziłem do każdego sklepu, do każdej firmy i pytałem o pracę. Czułem wielką determinację, nie chciałem być bezdomnym. Wkurzałem się, jak patrzyłem na Damiana. On szybko się odnalazł w tej sytuacji, zachowywał się jak osoba, która już wiele lat żyła na ulicy, i w ogóle podejrzewałem, że specjalnie namawiał mnie na wyjazd do Krakowa i że pasowało mu takie życie.

Byłem kilka razy na nabożeństwie, ale jakoś nie mogłem się tam z nikim zaprzyjaźnić. Ciągłe czułem się obco, więc po kilku spotkaniach dałem sobie spokój.

W końcu udało mi się znaleźć pracę w szpitalu. Jeździłem tam codziennie z noclegowni. Praca nie była wymagająca, ale też nie najlepiej płatna. Chciałem jak najszybciej uciec z noclegowni, więc zaproponowałem Damianowi, że wynajmiemy pokój na spółkę. Pomyślałem i powiedziałem mu, że to na jakiś czas, a potem ja idę w swoją stronę.

Wynajęliśmy ten pokój i on też zaraz znalazł pracę. Niestety, mieszkanie razem nam nie służyło, bo ostro razem piliśmy i w końcu wyrzucili mnie ze szpitala.

Potem znalazłem jeszcze jakąś pracę, ale nie mogłem jej utrzymać, bo bardzo dużo piliśmy.

Damian załatwiał jakiś towar na handel, który sprzedawaliśmy, i za to piliśmy. To było totalne zapijanie się, piliśmy codziennie w takich ilościach, że jak dzisiaj o tym myślę, to jedynie łaska Boża mnie wyciągnęła z tego. Po pewnym czasie takiego picia na umór mój organizm nie przyjmował w ogóle jedzenia tylko alkohol. Bywało, że nie jadłem nawet tydzień, tylko piłem. Płułem krwią i byłem tak słaby, że ledwo chodziłem. Biliśmy się między sobą w dzień, czasem w nocy. Wszystko

to działo się w pijackim transie i na drugi dzień niewiele z tego pamiętaliśmy, ale raz o mało nie zginąłem. Byłem jeszcze w miarę przytomny i o coś zaczęliśmy się kłócić. Damian nagle chwycił nóż, który leżał na stole — był to duży, bardzo ostry nóż — i bez zastanowienia zamachnął się na mnie. Na szczęście jakimś cudem wyczulem, po co chwycił ten nóż, i jak tylko się zamachnął, to udało mi się złapać go za nadgarstek i dość zdecydowanie wytrącić mu nóż z ręki. Jego atak był tak brutalny i agresywny, że gdybym nie zdążył, to na pewno bym nie żył. Kiedy nóż upadł na podłogę, nie miałem nad nim litości i na drugi dzień obudził się z zasiniaczoną twarzą. Dziś opisuję to z wielkim wstydem i ku przestrodze dla każdego, kto myśli, że picie to tylko zabawa.

Jeśli masz kilkanaście lat, to wydaje ci się, że popijanie to nic poważnego i masz nad tym kontrolę, ale z czasem alkohol zaczyna kontrolować ciebie i zaczynasz robić rzeczy, o które byś nigdy siebie nie podejrzewał!

Gdy byłem mały, to przysięgałem, że nigdy nie będę taki jak mój ojciec, ale kiedy zacząłem dorastać, zacząłem robić to samo. To, co się ze mną stało, nie stało się nagle, lecz powoli, krok po kroku, niepostrzeżenie...

Człowiek, u którego wynajmowaliśmy pokój, zupełnie nie dawał sobie z nami rady.

W ogóle nic wtedy nie myślałem, nic nie czułem, tak jakbym sam stał się żywym trupem. Chciałem tylko pić, za każdą cenę.

Kiedyś wsiadłem do autobusu miejskiego i popatrzyłem w okno. Słońce mnie raziło i przypomniał mi się Bóg. Słabo westchnąłem, prosząc o pomoc, trwało to nie więcej niż sekundę, ale Bóg to usłyszał, zaczął działać w swój niezwykły i oryginalny sposób.

Trzecia terapia — nawrócenie

12

Nie minęła doba, jak zadzwonił telefon. Nie znałem tego numeru i trochę niepewnie odebrałem. To dzwonił pastor z Poznania, ten sam, który przyjeżdżał na spotkania do Wroniek. Było mi jednocześnie wstyd i czułem wielką radość, że mnie odnalazł. Dowiedziałem się, że mama zaniepokojona skontaktowała się z nim i dała mu mój numer. Chwilę porozmawialiśmy i on powiedział mi, że mam się pakować, zostawić wszystko i wracać do Słubic, a potem do ośrodka na terapię!

Bardzo mnie ucieszył ten telefon i byłem gotów jechać nawet w ten sam dzień. Powiedziałem Damianowi, co się stało i że za kilka dni wyjeżdżam. Strasznie się wkurzył, że chcę go zostawić, zaczął mówić głupie rzeczy o pastora i próbował mną manipulować, jak tylko się dało, żebym został, ale nie pozwoliłem, aby miał nade mną władzę. Nie wiedziałem, co z nim zrobić — bardzo mnie męczyła ta znajomość. Według Damiana wszyscy byli źli, każdy chciał go oszukać, a on wszystko wiedział najlepiej. Zachowywał się jak duże, skrzywdzone dziecko. Wiedziałem, że przyjaźń z nim prowadzi mnie tylko do coraz większych kłopotów.

Następnego dnia Damian wszedł do sklepu po towar, którym handlowaliśmy, i już z niego nie wyszedł. Po około trzech godzinach zadzwoniła do mnie policja. Damian dał im mój numer. Okazało się, że miał wyrok w zawieszeniu i nie kontaktował się z kuratorem, który w końcu odwiesił mu wyrok. Był poszukiwany listem gończym i zatrzymali go w sklepie.

Kiedy w autobusie poprosiłem Boga resztką sił o pomoc, to on w ciągu około 48 godzin tak mocno zadziałał, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko wracać do Słubic.

I tak też zrobiłem.

W Słubicach nie byłem długo, raptem kilka dni. Pastor słu-bickiego kościoła zawiózł mnie do chrześcijańskiego ośrodka Teen Challenge w Broczynie. Byłem tam jakieś 7-8 miesięcy, ale nie mogłem się tam odnaleźć. Jedyne, czego tam zapragnąłem, to wziąć chrzest wodny, co też zrobiłem 28 stycznia 2010 roku.

Miałem tam też pewne przeżycie. W niedzielę byliśmy całą grupą na nabożeństwie w Miastku. Siedziałem, czekając, aż nabożeństwo się zacznie, i w pewnym momencie poczułem, jak coś na mnie spływa — taka lekkość — a jednocześnie spoglądałem na siebie z góry. Było to lekkie i przyjemne przeżycie, trwało ułamek sekundy i skończyło się nagle, a w czasie nabożeństwa spokojnie i pewnie zacząłem modlić się w innym, nieznanym mi języku. Nie będąc w pełni świadomym, co się stało, przeżyłem chrzest Duchem Świętym.

To zjawisko jest opisane w Dziejach Apostolskich. Teologowie mają na to swoje definicje, ja napiszę, jak sam to pojmuję.

Chrzest Duchem Świętym jest niezwykłym doświadczeniem. Moc Boża, Jego miłość i pokój dotykają cię całego, wchodzą do twojego wnętrza, czujesz, jak cię to wypełnia, i wiesz, że wydarzyło się coś bardzo ważnego.

Ja doświadczyłem przez te kilka chwil uczucia błęgiego spokoju i wiem, że wtedy Duch Święty zaczął mieszkać we mnie.

Mówienie innymi językami zazwyczaj następuje po chrzcie Duchem Świętym i też opiszę, jak ja to rozumiem to doświadczenie.

Język ludzki jest według mnie zbyt ubogi, by wyrazić pewne emocje i uczucia — po prostu człowiek nie jest w stanie wyrzucić tego z siebie, a modlitwa w innych językach to umożliwia. Są to uczucia, słowa, emocje, które jedynie poprzez Ducha Świętego można wyrazić przed Bogiem.

Biblia mówi, że jeśli nie wiemy, o co i jak się modlić, to duch wspiera nas w naszej niemocy. On też wstawia się za nami w niewysłowionych westchnieniach (List do Rzymian 8,26), więc kiedy ludzie napełnieni Duchem Świętym modlą się, to po prostu wypływają z nich niezwykle, a nawet niezrozumiałe słowa, których nikt nie pojmuje, nawet sam modlący. Jednak najważniejsze jest to, że owe słowa rozumie Bóg, który wysłuchuje każdej naszej modlitwy!

W tamtym czasie nie umiałem korzystać z tego niezwykłego daru i chyba sam traktowałem go trochę jako ciekawostkę, ale dziś modlitwy w językach używam bardzo często, bo wiem, że ona ma niezwykłą siłę. Słowo Boże mówi, że są to anielskie języki, i ja w to wierzę, dlatego jest to główne narzędzie moich modlitw.

Sam nieraz nie rozumiem tego, co moje usta wypowiadają, ale z wiarą przyjmuję, że jest to honorowane przed Bożym tronem.

Poza tym żyłem jednak swoim życiem i właściwie w ośrodku nic ze sobą nie robiłem.

Oczywiście czytałem Biblię i chciałem poznawać Boga, ale nie było we mnie determinacji. Ciągle łatwo wchodziłem w jakieś nieciekawe układy z pacjentami, ciągle rozmawiałem o starym życiu i trochę jeszcze chciałem żyć po swojemu.

Pewnego dnia dostałem tygodniową przepustkę, żebym pojechał do domu i przemyślał sobie, czy chcę być w tym ośrodku.

Do domu nie dojechałem. Wynająłem pokój w hotelu i przez parę dni piłem. Potem pojechałem na chwilę do Słubic i wróciłem do ośrodka. Przyznałem się wychowawcy, że piłem przez te dni. Miało się odbyć zebranie, podczas którego lekarze mieli zdecydować, co ze mną zrobić, ale ja kompletnie nie miałem już siły i ochoty na terapię. Spakowałem się i opuściłem ośrodek, po czym pojechałem znów do hotelu i piłem przez 3 dni.

Później pieniądze mi się skończyły, więc długo nie myśląc, poszedłem do sklepu i zamówiłem wódkę i coś jeszcze, a kiedy ekspedientka się odwróciła, wybiegłem z butelką ze sklepu.

Nie zdążyłem jej wypić. Po kilku łykach usnąłem na ławce, a obudziła mnie policja.

Sprzedawczyni zgłosiła kradzież. Oczywiście szukali mnie i znaleźli pijanego na ławce, po czym zawieźli mnie na komisariat i zatrzymali do wytrzeźwienia. Po 48 godzinach wypuścili mnie, bo się przyznałem i zgodziłem na samoukaranie.

Jeszcze siedząc pod celą, kiedy wytrzeźwiałem, zacząłem mieć koszarne myśli. Jak mnie przeszukiwali, to w plecaku, który miałem z sobą, policjant znalazł Biblię i z drwiną powiedział coś w tym stylu: patrzcie, on ma Biblię...

Było mi tak wstyd, że do dziś, kiedy to wspominam, jest mi nieswojo. Naprawdę chciałem przestać tak żyć, ale nie umiałem z tym skończyć.

Nawróciłem się, pojechałem na terapię, dostałem tak wiele, a jednak nie umiałem tego wszystkiego wykorzystać. Ciągle miałem jakieś swoje plany, pomysły.

Po wyjściu z komisariatu kręciłem się po Miastku, znów nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Byłem przepity, głodny i zły na siebie, a moje myśli mnie bombardowały: kolejny raz dowaliłeś, znów ci się nie udało, a wszystko, co robisz, nie wychodzi ci. Te myśli szalały w mojej głowie, a najgorsze było to, że przyznawałem im rację, no bo jak tu się nie zgodzić?

Znów ten sam schemat: chcę się zmienić, próbuję i kończę jak zawsze — niszczyć wszystko, piję, ładuję na ulicy, totalnie nie wiedząc, co ze sobą zrobić. To błędne koło mnie dobijało i właściwie nie widziałem dla siebie ratunku.

Pojechałem na gapę do Słubic, ale ostatnie kilometry przeszedłem już na piechotę. W głowie miałem kłębowisko czarnych myśli. Byłem zmęczony, głodny, zniechęcony... W myślach pojawił mi się werset z Księgi Izajasza (43,5): „Nie bój się, bo ja jestem z tobą”!

W tej całej złości na siebie i bezsilności westchnąłem tylko: Panie, ratuj...

Było niedzielnie popołudnie, droga Kostrzyn–Słubice — w fatalnym stanie. Po chwili siadłem na jakiejś przydrożnej barierce. Minał mnie metalowy Volkswagen Passat mojego pastora ze Słubic, przejechał koło mnie, a za chwilę z piskiem opon zatrzymał się i wyskoczył z niego pastor. Podszedł do mnie i spytał: co się z tobą stało, Grzesiu? Zapomniałeś, co Pan Jezus dla ciebie zrobił? Wracaj do domu, wszyscy już wiedzą, że wyjechałeś!

Nie wytrzymałem i zacząłem płakać, łzy leciały mi po brudnej, zmęczonej twarzy, a ja nie umiałem nic mądrego odpowiedzieć.

Byłem taki zmęczony tym wszystkim, tą wędrówką, tym życiem, tymi wszystkimi niepowodzeniami. Nawet nie umiałbym odpowiedzieć, dlaczego tak wszystko niszczyć! Byłem taki bezsilny i nie umiałem temu zaradzić.

Pastor tego dnia jechał na swoje cotygodniowe spotkanie w więzieniu w Słońsku i dlatego pokonywał tę trasę. Prosił mnie, żebym szedł do domu, a on jutro do mnie przyjedzie.

I faktycznie był na drugi dzień. Na początku powiedział mi dość stanowczo, że mi jeszcze raz pomoże, ale jak go teraz zawiodę, to nie chce mnie znać. Te słowa podziały na mnie

bardzo otrzeźwiająco. Po kilku dniach wsadził mnie do samochodu i wywiózł do następnego ośrodka, w Długiej Goślinie.

Właściwie nie wiedziałem, czy chcę jechać do następnego ośrodka, czy mam siły znów zaczynać to wszystko od nowa, ale cóż...

Czwarta terapia — nowe życie

13

8 maja 2010 roku. Trafiłem do ośrodka w Długiej Goślinie. To ośrodek chrześcijański, więc od rana były wykłady ze Słowa Bożego. Siedziałem cicho i słuchałem tego wszystkiego. Ciągle myślałem o swoim życiu i o tym, co się w nim ostatnio wydarzyło. Wiedziałem, że nie mogę ufać sobie, że mój sposób myślenia jest destruktywny, że już nie może tak być!

Czasem jeszcze myślałem o sobie, że jestem taki zaradny i sprytny, ale to były tylko kłamstwa, które sobie wmawiałem po narkotykach i alkoholu. Nie mogłem tak dalej żyć!!!

Któregoś dnia zrezygnowałem z siebie, moje ja umarło, moje plany pomysły, wszystko, co do tej pory było we mnie, budziło moją odrazę. Nie chciałem już tego, nie chciałem już tak żyć. Wystarczy...

Ośrodek w Długiej Goślinie leży na uboczu. Nie ma tam cywilizacji, po zajęciach można wyjść i posiedzieć przy strumyku, pomyśleć, pomodlić się i przyglądać się wszystkiemu z boku. Tak też robiłem, spędzałem tam dużo czasu, myśląc o sobie: miałem 33 lata, a od dzieciństwa nie było mi łatwo — domowe awantury, kłótnie rodziców i alkohol, odrzucenie ze strony rówieśników z podwórka i klasy. Robiłem wszystko, żeby ktoś mnie zaakceptował, żeby należeć do jakiejś grupy. W końcu sam wpadłem w narkomanię, alkoholizm, lekomanię, a do tego więzienie. Byłem bezdomnym, spałem na klatkach i w noclegowniach, miałem terapię za terapią, których i tak nie skończyłem. Przeszedłem zapaści po narkotykach i padaczki

alkoholowe. Mam dziecko, a nawet nie wiem, co się z nim dzieje!!!

Od wielu lat walczę z nałogami, ale bezskutecznie. W moim życiu czasem były dobre dni, ale mógłbym je zliczyć na palcach jednej ręki.... I co dalej?

Dużo myślałem, zacząłem czytać na nowo Słowo Boże i modlić się. Przychodziło mi to z początku z trudem, bo ciągle żyłem w przeświadczeniu, że zawiodłem Boga, ale nasz Bóg jest ponad tym wszystkim i jego miłosierdzie nie zna granic. Powoli dzień po dniu wracały mi chęci do życia, czytałem Biblię i ona znowu mówiła do mnie. Słowo Boże ożywało we mnie, a ja rodziłem się na nowo!!!

Któregoś dnia wychowawcy wzięli mnie do Murowanej Gośliny do pomocy przy rozdawaniu żywności ubogim. Byłem zachwycony. Po tym wszystkim ja, a więc ten, który wszystkim wokół i samemu sobie zrobił tyle złego, mogę jeszcze uczynić coś dobrego. Od tej pory zawsze chciałem tam jeździć i pomagać! To dodawało mi wiary w siebie i bardzo cieszyło. Pamiętam, jak wieczorami modliłem się, dziękowałem Bogu za ten przywilej i prosiłem Go, żeby wykorzystywał mnie jeszcze bardziej. Brzmiało to mniej więcej tak:

Panie Boże, dziś używasz mojej siły do roznoszenia jedzenia, ale proszę, w przyszłości używaj mnie całego!!!

Któregoś poranka w ośrodku oznajmiono nam, że będziemy poddani testom na obecność wirusa HIV. Przeszył mnie wielki strach, zaraz przypomniało mi się całe moje życie, to, gdzie się włóczyłem, w jakim środowisku żyłem i jak bardzo w tym wszystkim igrałem ze śmiercią. Moja przeszłość była na tyle destruktywna, że miałem realne podstawy, aby myśleć, że mogę być nosicielem wirusa. Zrobiliśmy testy i czekaliśmy na wyniki kilka tygodni. W tym czasie niepewności różne myśli przycho-

dziły mi do głowy. Kiedy wyniki dotarły do ośrodka, ówczesny dyrektor brał każdego z nas na rozmowę i indywidualnie pokazywał wynik. Miałem minus, a więc byłem zdrowy!!!

Dzięki Ci Boże, żeś mnie uchronił przed tym, że tam w przeszłości, kiedy Cię jeszcze nie znałem i nie szukałem, Ty już wtedy dbałeś o mnie!!!

Patrzę czasem z perspektywy czasu i doświadczeń na moje życie i muszę przyznać, że Bóg zawsze o mnie dyskretnie dbał. Miałem zapaści po narkotykach, padaczki alkoholowe i inne dziwne historie, o których nie chcę się rozpisywać, ale ich finałem mogła być moja śmierć.

Zacząłem rozmawiać z wychowawcami o swoim życiu i załatwiać swoje problemy. Był to wspaniały okres. Pracowałem nad sobą i swoimi problemami, uczyłem się żyć na nowo, ale przede wszystkim zacząłem poważnie traktować Bożą łaskę.

Na jednym z wykładów wychowawca powiedział, że Bóg lubi, jak mu się stawia odważne pytania, więc poszedłem do jedynej ustronnej miejscy w ośrodku — toalety, klęknałem i zapytałem:

Panie Jezu, wiem, że umarłeś za mnie, ja Tobie powierzyłem swoje życie, ale nie rozumiem tego, co Tobą kierowało.

Mógłbym zrozumieć wiele, ale żeby za mnie umierać? W ogóle nie rozumiałem tego, że Pan Jezus ofiarował swoje życie za mnie!

Dzień lub dwa dni później miałem sen, który pamiętam do dziś. Śniło mi się, że siedziałem w więzieniu, pod celą z kilkoma ludźmi. Na początku było spokojnie, ale nagle ci ludzie zaczęli szarpać mi włosy, bić mnie itp. I ja, taki zakrwawiony, poobijany, spytałem: dlaczego mi to robicie?

Jeden z tych ludzi powiedział mi, że kiedyś mój syn coś mu zrobił i to za to!

Ja nagle zmieniłem się w Jezusa. Był spokojny i uśmiechnięty i powiedział: jeśli to za moje dziecko, to mogę wszystko znieść.

Rano obudziłem się i wiedziałem, że to Bóg właśnie w taki sposób odpowiedział na moje pytanie.

Taka jest właśnie Boża Miłość: może znieść wszystko i nadal kochać!

Wiele dobrych rzeczy doświadczyłem w czasie pobytu w tamtym ośrodku. Miałem wcześniej padaczkę alkoholową i z tego powodu brałem leki. Konkretniej nazwy teraz już nie pamiętam, ale jest to jednocześnie lek psychotropowy, po którym, jeśli się go weźmie więcej, można mieć niezłą jazdę. Leki były nam wydzielane i dawane o określonej porze. Któregoś dnia wziąłem ten lek do ręki i poszedłem z nim do pokoju. Usiadłem na łóżku i popatrzyłem, co mam w ręce. Kiedyś uzbierałbym sobie kilka tabletek i zjadł je, żeby odjechać, ale wtedy poczułem się wolny od nich. Wstałem i wyrzuciłem je. Od tej pory już nigdy nie sięgnąłem po tabletkę! Bóg uwolnił mnie od tego świństwa. Po atakach padaczki alkoholowej ludzie podobno latami muszą brać te leki, żeby nagle padaczka ich nie chwyciła. Od tamtego dnia nic takiego mnie nie spotkało.

Wróciła mi chęć do życia. Czulem, że tym razem będzie inaczej. Już się nie bałem, że nagle zrobię coś głupiego i zniszczę wszystko. Czulem bardzo wyraźnie Bożą obecność i Jego prowadzenie! Moje ja umierało z każdym dniem, a prawdziwe życie odradzało się we mnie!!!

Byłem już jakiś czas w ośrodku i któregoś niedzieli wracałem z innymi mieszkańcami ośrodka z nabożeństwa w Gnieźnie. W trakcie luźnej rozmowy wychowawca zapytał mnie, co zamierzam dalej robić ze swoim życiem. Migąłem się od odpowiedzi i nic mądrego nie umiałem mu powiedzieć, poza lakonicznym: pójdę do jakiejś pracy. Ale jakiej? Nie pytał mnie o ogólniki, ale

o szczegóły. Bardzo źle się czulem, rozmawiając z nim. Pytał mnie o konkretne rzeczy, a ja nie potrafiłem mu odpowiedzieć, bo niby co miałem powiedzieć, jak sam nie wiedziałem.

Tego dnia długo nie mogłem zasnąć i myślałem o swojej przyszłości: 33 lata, karany, bez zawodu, żadnych szczególnych umiejętności, wykształcenie podstawowe. Jedyne umiejętności to te, którymi nikogo nie zachwyczę! Co zrobić ze sobą? Bardzo dobre pytanie! Sam chciałbym znać na nie odpowiedź!

W ośrodku jest dobrze, jest gdzie spać, co jeść, są terapeuci, wychowawcy, opieka medyczna, więc łatwo się tam żyje, ale po wyjściu trzeba zarobić na siebie. Myślałem o tym i często modliłem się o pomoc.

Pewnego dnia przyjechał z Poznania Władek, który współpracował z ośrodkiem w ramach terapii zajęciowej. Pracowaliśmy przy cięciu drewna, więc żeby móc tę pracę wykonywać, musieliśmy zdobyć uprawnienia pilarza. I tak wyrobiłem sobie pierwszy raz w życiu uprawnienia, żeby móc w przyszłości uczciwie zarabiać!

Któregoś dnia siedziałem i czytałem sobie Biblię i Bóg wyraźnie przemówił do mnie swoim słowem z Księgi Joela (2,25): „[...] wynagrodzę wam szkody lat, których plony pożarła szarańcza, konik polny, larwa i gąsienica, moje wielkie wojsko, które na was wyprawiłem”.

Poczułem, jak Bóg daje mi wielką obietnicę, że to wszystko, co mnie w życiu spotkało, będzie wynagrodzone i odbudowane. Mocno się tego uchwyciłem i już wkrótce zacząłem doświadczać Bożej łaski.

Powoli, ale nieuchronnie zbliżał się koniec mojego pobytu w ośrodku. W międzyczasie Władek zatrudnił mnie w swoim małym tartaku, gdzie zacząłem zarabiać uczciwe pieniądze. Dużo tego nie było, ale na początek, żeby coś wynajść, było w sam raz.

Termin mojego pobytu na terapii był prawie ustalony, więc musiałem zacząć szukać pracy poza ośrodkiem i jakiegoś mieszkania. Wieczorami schodziłem do piwniczki i 2 dni modliłem się. Dziękowałem Bogu za to, co już dla mnie zrobił. Chwaliłem go i uwielbiałem, czytałem na głos Biblię. Później przyszło do mnie takie przekonanie, żebym dziękował za to, co się niebawem wydarzy, więc następne 2 dni schodziłem do piwnicy i dziękowałem Bogu za to, co ma się stać.

Po tych 4 dniach jeden z pracowników ośrodka dał mi numer telefonu jakiejś firmy, która szuka pilarza. Zadzwoiłem, ale nikt nie odpowiedział. Trudno. Za jakiś czas przyjechał Władek i powiedział, że jakbym chciał, to mogę na jakiś czas zamieszkać w kościele. Za chwilę oddzwonił telefon z firmy, do której dzwoniłem. Okazało się, że szukają człowieka do pracy z uprawnieniami pilarza!

W ciągu jednego dnia Bóg dał mi pracę i mieszkanie!

Wyposażył mnie w to, czego będę najbardziej potrzebował w najbliższym czasie! Byłem mu taki wdzięczny!!!

Prawdziwe nowe życie

14

22 listopada 2011 roku skończyłem terapię w ośrodku w Długiej Goślinie!!!

Wreszcie udało mi się coś skończyć!

Czułem się już inną osobą; stary Grzesiek został daleko za mną, a ja stałem się kimś innym. Już nie ciągnęły mnie te rzeczy, co kiedyś! Byłem wolny od alkoholu, narkotyków, leków i papierosów!!!

Nie czułem się trzeźwym alkoholikiem czy narkomanem. Wiedziałem, że jestem wolny!!!

Myślałem o swoim życiu, o tym, ile złego zrobiłem sobie i innym, i że po tym wszystkim Pan Jezus mnie kocha i ciągle mi pomaga. Byłem taki szczęśliwy.

Miałem pracę, miałem gdzie mieszkać!!!

Na drugi dzień wczesnie rano spakowałem swoje rzeczy i wsiadłem do autobusu do Poznania.

Jest w Biblii historia o ludzie Bożym — Izraelu. Przez około 400 lat Izraelici byli w niewoli, potem Bóg ich niej wyprowadził. Szli pustynią do ziemi obiecanej. Podczas tej wędrówki mieli kilka „wpadek”, ale w końcu stanęli przy granicy ziemi, którą Bóg im obiecał. Jednak zanim do niej weszli, musieli ją zdobywać, kawałek po kawałku, aż w końcu cała była ich. Kiedy tam się osiedlili, musieli nauczyć się żyć na nowo. Wspaniała historia!

I ja czułem się podobnie jak Izraelici. Przez wiele lat byłem niewolnikiem nałogów i wszystkiego, co za tym stoi, ale Bóg mnie od tego uwolnił i zabrał na długą wyprawę po pustyni mojego życia, oczyszczając mnie i łamiąc moje ja. To była bar-

dzo długa i często bolesna wędrówka, ale w końcu stałem się wolnym człowiekiem. W tej Bożej wolności zacząłem nowe życie. Zamieszkałem w pokoju, na zapleczu kościoła w Poznaniu i pracowałem w lesie jako pilarz.

Tak jak naród wybrany musiałem się nauczyć żyć na nowo. Kiedyś w ogóle nie liczyłem się z pieniędzmi. Jak nie było, to coś się ukradło, a teraz musiałem nauczyć się nimi gospodarować. Musiałem się nawet nauczyć robić rozsądne zakupy! W ogóle wszystko było dla mnie nowe. Przechodziłem taki szybki kurs nauki życia, ale to był wspaniały okres. Często coś sobie gotowałem i sprawdzałem, co ja właściwie lubię jeść i czy umiem jako tako gotować.

Musiałem też nauczyć się nowych relacji z ludźmi. Kiedy żyłem na ulicy, kierowałem się innymi wartościami, miałem inną mentalność i brak szacunku do czegokolwiek. Mieszkając w kościele, miałem okazję często widywać się z ludźmi, w związku z czym co chwilę poznawałem kogoś. Przez lata moje życie uległo całkowitej degradacji, każdy jego aspekt został zniszczony, a teraz trzeba było to odbudować. Wieczorami czytałem Biblię i w modlitwie dziękowałem Bogu za wszystko.

Wladek, który też kiedyś mieszkał w kościele, bardzo mi pomagał, brał mnie w wolnych dniach do dodatkowej pracy, dzięki czemu mogłem sobie dorobić, często rozmawialiśmy. Właściwie to on mówił, a ja słuchałem i zawsze ta część naszej pracy była dla mnie najważniejsza.

Czasem odwiedził mnie w moim pokoiku pastor Piotr Wiselka, ten do którego przychodziłem na spotkania we Wronkach. To on do mnie dzwonił do Krakowa, żebym wszystko zostawił i wracał. Załatwił mi ośrodek w Teen Challenge, a potem, kiedy z niego wyjechałem, załatwił mi następną terapię w Długiej Goślinie. Jestem mu niezmiernie wdzięczny za to, że nie zwątpił we mnie.

Któregoś dnia Wladek poznał mnie z chłopakami z kościoła. W piątkowe wieczory brali oni wielki gar zupy i jechali na dworzec do bezdomnych dzielić się ciepłym posiłkiem i Ewangelią. Przyłączyłem się do nich i jeździłem z nimi.

Kiedyś modliłem się o to, żeby Bóg używał mnie całego i teraz zaczynało się to dziać. Był to wspaniały czas. Mogliśmy przy ciepłej zupie rozmawiać z tymi ludźmi i miałem okazję opowiadać ludziom, co Pan Jezus zrobił w moim życiu i że jego pomoc jest realna!!!

Czułem, że to jest coś, co chciałbym robić, że Bóg tego chce, więc gdy tylko była okazja, to wychodziłem w teren i rozmawiałem z ludźmi. Część z tych ludzi chciała coś ze sobą zrobić, więc musieliśmy ich dokądś kierować, żeby móc z nimi dalej pracować. Koło naszego kościółka stał barak, w którym odbywały się spotkania Coffee House.

Coffee House to część misji Teen Challenge. Co tydzień odbywają się spotkania dla osób uzależnionych. Ludzie mogą tam coś zjeść, wypić coś ciepłego i usłyszeć dobrą nowinę o Panu Jezusie. Efektem tych spotkań jest zazwyczaj skierowanie do ośrodka na terapię.

Jako że mieszkałem blisko, to zazwyczaj doprowadzałem te osoby na spotkania i przy okazji sam w nich uczestniczyłem. Tak poznałem Gosię, Karola i Tatianę — osoby, które prowadziły Coffee House.

Zacząłem coraz częściej przychodzić na te spotkania, aż w końcu zostałem członkiem grupy. Zaprzyjaźniłem się też z Gosią i Karolem. Ta przyjaźń trwa do dziś i bardzo ją sobie cenię. Wtedy zacząłem też wychodzić z Karolem na ulice do osób uzależnionych, by zapraszać je na spotkania. Był to dla mnie niezwykle cenny czas i myślę, że z tych cotygodniowych spotkań to właśnie ja otrzymałem najwięcej!

Wkrótce wynająłem sobie pokój i wyprowadziłem się ze

zboru. Miałem swój pokój! Swoje własne miejsce na ziemi! Nigdy nie miałem własnego pokoju, spełniło się moje marzenie z dzieciństwa!

W pracy nie układało mi się najlepiej, więc postanowiłem ją zmienić. Jeden znajomy, jeszcze z czasów pobytu w Długiej Goślinie, mówił mi, że pracuje w dużej firmie jako ochroniarz i kogoś tam potrzebują. Rzucił mi propozycję pójścia na rozmowę kwalifikacyjną. Nie za bardzo mi się to uśmiechało, bo w końcu byłem karany, więc jak tu iść do pracy w ochronie? Ale postanowiłem spróbować i dostałem tę pracę! Na rozmowie pytali mnie, czy wcześniej pracowałem jako ochroniarz, co potwierdziłem (miałem kiedyś w życiu mały epizod z ochroną, nic wielkiego, ale jednak). Nikt nie pytał mnie o karalność, a rozmowa zeszła na temat Coffee House.

Byłem w szoku — miałem pracę w ochronie z moją przeszłością. Tylko Bóg mógł to zrobić.

Moje życie było naprawdę fajne, dobrze było spokojnie przespać całą noc, obudzić się i z radością witać nowy dzień. Kiedyś, żeby mieć z rana dobry humor, potrzebowałem narkotyków albo alkoholu. Teraz, kiedy rano wstawałem, nie potrzebowałem tego wszystkiego. Byłem wolny i to się liczyło. Kiedyś rano wstawałem i czułem, że moje życie prowadzi donikąd i nie ma celu, a gdybym się nie obudził, to właściwie nic by się nie stało.

Życie zaczęło nabierać sensu. Miałem pracę, miałem gdzie mieszkać, kiedy wychodziłem na ulicę do ludzi, to czułem, że to jest coś, do czego Bóg mnie powołał. Najlepsze jednak było to, że ciągle czułem nad sobą Bożą obecność!!! To dawało mi siłę i sprawiało, że chciało się żyć.

Bóg obiecał mi, że wynagrodzi szkody tych wszystkich lat, i to się właśnie teraz działo!

Wtedy zaprzyjaźniłem się z Karolem i ta przyjaźń była dla mnie w tamtym czasie bardzo cenna. Ciągłe jesteśmy przyja-

ciółmi i to się nie zmieni! Zaczynałem nowe życie i jak każdy na takim etapie potrzebowałem koło siebie kogoś, kto by mi cierpliwie tłumaczył, odpowiadał na pytania, a nawet prowokował do konfrontacji się z prawdami, które zaczęły żyć we mnie. Karol był właśnie kimś takim. Odwiedzał mnie prawie codziennie na przerwie w pracy. Tak się dobrze złożyło, że mieszkałem w dzielnicy, w której on pracował, i kiedy miałem wolne, wpadał do mnie na drugie śniadanie, które nieraz się przeciągnęło. Dużo rozmawialiśmy, a właściwie to ja mówiłem, a on słuchał, a kiedy się wygadałem, to on zaczynał mi mówić, jak widzi określone sprawy, jak powinny wyglądać. Jego rady bardzo pomogły mi kształtować nowy charakter. Bardzo cenilem te spotkania i wiem, że każdy powinien mieć takiego przyjaciela blisko siebie! Dbając o mój rozwój, Karol przynosił mi całe pliki wykładów, głównie Dereka Prince'a, które dla mnie, jako młodego chrześcijanina, były dodatkowym źródłem motywującym do rozwoju! To był bardzo dobry czas. Dzięki Karol!!!

Mieszkając w Poznaniu, zauważyłem pewną rzecz, która naprawdę mnie zasmuciła. Pierwszy raz zwróciłem na to uwagę zaraz po wyjściu z więzienia we Wronkach. Byłem jakiś czas poza normalnym życiem, więc pewnie dlatego rzuciło mi się to w oczy. Wsiadłem do pociągu, obserwując kątem oka ludzi, i zacząłem dostrzegać, że prawie każdy ma słuchawki w uszach, jedni byli podłączeni do telefonów, inni do laptopów, wyglądało to dość dziwnie, jakby każdy był podłączony kablami do swojego świata. Swoisty *Matrix* (tytuł filmu).

Nie zrozum mnie źle, sam korzystam z telefonów, komputera i Internetu, ale to, co obserwuję, przeraża mnie. Ludzie wszędzie i prawie zawsze są do czegoś podłączeni, zamknięci w swoim sterylnym świecie.

Rozwój technologiczny jest tak wielki, że można stworzyć swój własny, sztuczny świat, w którym możesz czuć się dobrze.

Jest wielu samotnych, młodych ludzi, którzy nie umieją nawiązać zdrowych relacji, łatwiej im odnaleźć się w wirtualnej rzeczywistości. To niszczy zdrowe relacje i funkcjonowanie!

XXI wiek przyniósł nowe uzależnienia i nie są to narkotyki, alkohol, ale technologia. Ludzie są uzależnieni od telefonów, Internetu, portali społecznościowych, a w rzeczywistości coraz trudniej im poradzić sobie w życiu. Przeraza mnie to i bardzo smuci!

W jednej z ksiąg w Biblii (Księga Hioba) jest opowieść o tym, jak szatan zabija rodzinę głównego bohatera. Bóg zaplanował, że rodzina będzie wielką wartością, szatan robi wszystko, żeby ją zniszczyć. Dziś obserwuję, jak szatan niszczy nasze społeczeństwo przez technologie.

Jak? — może zapytasz.

Ludzie nie zwracają na siebie uwagi, stoją w grupie, np. na przystanku, i każdy słucha swojej muzyki — o tym, jaki dziś jest wspaniały dzień, o tym, że się dziś zakocha. Jednak nic się nie wydarzy, bo nie zauważył nikogo wokół siebie. Mało kto decyduje się na założenie prawdziwej rodziny, bo po co, jeśli wokół jest tyle bodźców, które mogą zastąpić prawdziwą miłość i prawdziwe relacje.

Świat promuje luz i skupianie się na swoich potrzebach, więc nie ma w nim mowy o poświęceniu, odpowiedzialności, skoro wszystko krzyczy, że ty jesteś najważniejszy, a reszta się nie liczy.

Jak możemy usłyszeć, co mamy w naszym wnętrzu, na dnie duszy, gdy stale ją zagłuszamy? Jak mamy poznać kogoś wartościowego, gdy świat promuje dziś zło?

To nie przesada, filmy są brutalne, narkotyki i seks są dziś w cenie! W Internecie znajdziesz dosłownie wszystko, gwiazdy, które są autorytetami, chwala się tym, czego raczej powinny się wstydzić — XXI wiek...

Dzieci godzinami grają w gry, w których króluje przemoc. Kiedy nauczą się obsługiwać komputer, oglądają brutalne filmy, promujące zło, a potem wychodzą na ulicę... Pomyśl, jakie mają wartości, skoro w dzieciństwie są karmione przemocą. Ich dusza już nie wie, co jest dobre, a co złe, priorytety już zdażyły się przestawić: zło jest dobrem, a dobro jest złem.

W TV promowane są nastoletnie seksbomby i trudno zgadnąć, czy one są już pełnoletnie. A więc jeśli TV pokazuje to jako coś normalnego, to musi to być „normalne”... i nagle rodzice tych dziewczynek dowiadują się, że ich córki są w ciąży albo coś jeszcze gorszego i zastanawiają się, gdzie one się tego nauczyły.

Słyszałem kiedyś ciekawe powiedzenie: jesteś tym, czym się karmisz.

Nie dziw się, że jeśli cały dzień pakujesz terror i przemoc do głowy, to później masz takie myśli. Nie ludź się: jeśli twoje dziecko spędza cały dzień, grając w brutalne gry, słuchając muzyki, która promuje narkotyki, to nie wyrośnie na spokojnego człowieka.

To, co człowiek sieje, będzie zbierał. Siejesz zło i karmisz się nim? Prędej czy później zbierzesz zło.

Wybieraj to, co dobre, co przynosi radość, pokój i szczęście. Żyj tym!!! I nie pozwól sobie tego odebrać!

Zbliżało się lato i pewnego dnia przypomniało mi się moje więzienne marzenie, żeby tak po prostu spakować plecak i iść brzegiem morza tak daleko, jak mnie tylko nogi poniosą.

Po wyjściu z więzienia zacząłem pić i oczywiście nie mogłem realizować marzeń, choć pamiętałem o nich. Teraz nic już nie stało na przeszkodzie, więc w połowie lipca wziąłem urlop, spakowałem Biblię i kilka najpotrzebniejszych rzeczy do plecaka i wyruszyłem w swój pierwszy urlop w życiu.

Prosto z busa poszedłem na plażę w Ustroniu Morskim i prawie przez tydzień szedłem brzegiem morza! Pierwsze trzy dni padało, ale co mi tam!

Nocą spałem w lesie, rozciągałem linę między dwoma drzewami i wieszałem na niej folię malarską — w taki prosty sposób miałem namiot. Tylko w jeden dzień deszcz lał niemiłosiernie, a wiatr rozrywał mi namiot, tak że musiałem się ewakuować do hotelu.

Susząc się w pokoju, włączyłem telewizor. W czasie pobytu w Długiej Goślinie przestałem oglądać telewizję, bo zauważyłem, że w wiadomościach pokazywane są tylko wojny, korupcję i w ogóle same nieszczęścia, a filmy, które telewizja puszczała, były oparte na seksie, przemocy itp. Uznałem, że nie chcę się tym zanieczyszczać i przestałem oglądać tv. Akurat zaczęły się wiadomości. Nigdy tego nie zapomnę — pierwsze 3 informacje: strzelanina w Norwegii, psychopata zabija 93 osoby, Amy Winehouse, młoda piosenkarka, nie żyje, najprawdopodobniej albo się zapila, albo zaćpała, albo jedno i drugie, pewien polski bokser przedawkował proszki nasenne i leży w szpitalu.

Szok!!! Co się dzieje ze światem — wołałem do Boga. Wyłączyłem telewizor i padłem na kolana, chciałbym, żeby Pan Jezus już przyszedł z powrotem i to całe zło zakończył!

Długo nie mogłem dojść do siebie.

Na drugi dzień wyruszyłem z powrotem w moja wędrówkę. Na koniec dotarłem do Ustki.

Marzenie spełnione!!!

Zszedłem znad morza i pojechałem na zjazd absolwentów

w ośrodku Teen Challenge. Byłem zaproszony na ten zjazd jako członek poznańskiego Coffee House.

Sytuacja była o tyle ciekawa, że rok wcześniej opuściłem ten ośrodek po tym jak wysłano mnie na przepustkę, a ja zapiliem się, a potem wróciłem tylko po to, żeby w ten sam dzień wyjechać i dalej pić. Czulem się trochę skrupowany, wchodząc tam, ale miałem miłe i ciepłe przyjęcie. Pracujący w ośrodku wychowawcy cieszyli się, że żyję, jestem trzeźwy i przyjechałem do nich. Na zjeździe spotkałem kilka osób, z którymi tam wtedy byłem, a był to dobry czas. Niestety kilku kolegów nie spotkałem. Nie było ich z wiadomych powodów.

Miałem tam jeszcze jedną ważną sprawę do załatwienia i w pierwszej wolnej chwili pojechałem do Miastka. Wszedłem do sklepu spożywczego. Trochę mi się nogi trzęsły i było mi bardzo wstyd. Podszedłem do ekspedientki i zapytałem się, czy mnie pamięta. Popatrzyła na mnie, ze strachu otworzyła szeroko oczy i zrobiła krok w tył. To był ten sklep, z którego ukradłem butelkę wódki i uciekłem, a przede mną stała ta ekspedientka, która mnie w ten fatalny dzień chciała obsłużyć. Zacząłem ją bardzo mocno przeproszać i prosić o wybaczenie. Pytała mnie, dlaczego to zrobiłem. Odpowiedziałem jej zgodnie z prawdą: że byłem osobą uzależnioną i zrobiłbym wtedy wszystko, żeby tylko zdobyć alkohol. Opowiedziałem jej, że po tym wszystkim pojechałem się leczyć i skończyłem z tym definitywnie, że już nigdy tak nie postąpię. Spytała mnie, czy jestem tego pewny. Odpowiedziałem jej, że tak, że skończyłem z tym definitywnie. Przebaczyła mi, a ja podziękowałem jej za to. Oddałem też pieniądze za ukradziony towar, potem pożegnałem się i wyszedłem.

Od tamtej pory staram się naprawiać zło, które kiedyś wyrządziłem. Jeśli zrobiłem komuś kiedyś coś złego, to — o ile to możliwe — staram się to naprawić i prosić o przebaczenie.

Po wakacjach przyszła jesień i zima — czas regularnych wyjść z Karolem na ulice; był to bardzo dobry czas. W końcu przyszedł grudzień, Święta i na zaproszenie mamy pojechałem do Słubic.

Po trzech albo czterech latach znów byłem w tym mieście. Kojarzyło mi się ono tylko z alkoholem, narkotykami, plugawym życiem i dzieciństwem, które najchętniej wymazałbym z pamięci! Kiedy szedłem ulicami, dosłownie każda klatka, każdy zaułek mi się z czymś kojarzył, coś przypominał. W tej klatce brałem amfetaminę, w tamtym zakamarku ukradłem radio z auta, a w tamtym parku często paliliśmy marihuanę. To były moje skojarzenia z tym miastem! Najchętniej wróciłbym do pociągu. Nie było tak, że te wspomnienia jakoś nakreśliły mnie do tego, żebym znów chciał zrobić jakąś głupotę, ale dosłownie obrzydzały mnie. Zrozumiałem, że tylko takie życie mógłbym tu prowadzić. Potwierdzeniem dla mnie było spotkanie dwóch starych znajomych. Szedłem na nabożeństwo i nagle na nich wpadłem. Nie widzieliśmy się z 5 lat, a oni na dzień dobry spytali mnie, czy mam papierosa. Nic się nie zmieniło w tym mieście! Kiedy ich ostatnio widziałem, pytali o to samo! Całe dni chodzili po mieście i zebrali o papierosa, a jak nie dostali, to zbierali pety.

— Dzięki Ci Boże, że mnie wyrwałeś i uwolniłeś z tego nałogu.

— Dzięki Ci za to, żeś mnie wyrwał z tego miasta!!!

U mamy w domu Święta przebiegały spokojnie — nie widzieliśmy się parę lat. Gdy byłem w ośrodku w Długiej Goślinie zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że przepraszam ją za te całe lata męczarni ze mną i prosiłem o wybaczenie. Powiedziała, że mi wybaczają. Nasze relacje są jednak nawet dziś dość skomplikowane — chyba za dużo się w życiu wydarzyło. Żeby

było naprawdę dobrze, musi jeszcze trochę czasu upłynąć, ale wierze, że wszystko będzie w porządku.

Postanowiłem odwiedzić ojca. Ciężko było mi iść do niego, bo znając go, specjalnie na mnie nie czekał. Nigdy nie był do mnie wrogo nastawiony, ale był tak wycofany i skupiony na swoim nałogu, że często miałem wrażenie, że jest pozbawiony jakichkolwiek uczuć. Nie widziałem go nigdy śmiejącego się ani płaczącego, nawet zdziwionego. Często widziałem go agresywnego i wulgarnego, ale po pijanemu. Wiedziałem, że mieszkał dalej z Ewą. Postanowiłem tam pójść, żeby osobiście im powiedzieć, że wszystko im wybaczam.

Nieraz myślałem o tym, jaki był mój ojciec, kiedy był młody, czy miał jakieś marzenia, jakie było jego dzieciństwo. Co się stało, że sięgnął po alkohol i nie mógł bez niego żyć? Tego nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem. Mogę się tylko domyślać, że nie miał łatwego dzieciństwa, że zarówno on, jak i mama mieli w młodości bardzo ciężkie życie...

Dziś z perspektywy czasu patrzę na to wszystko inaczej niż kiedyś i już nie jestem zły, że miałem dzieciństwo pełne problemów. Moi rodzice pewnie nie zaznali w życiu miłości, ciepła, bezpieczeństwa, więc jak mogli mi je dać? Nie chowam do nich urazy ani żalu, na swój sposób kocham ich oboje.

Wszedłem od strony deptaku na osiedle, mijając policyjny samochód, ale nie zwróciłem na niego uwagi. Zadzwoniłem na domofon, ale nikt nie otwierał. Po kilku próbach otworzyli mi sąsiedzi. Szedłem po schodach na czwarte piętro. Był to dom z mojego dzieciństwa, nie miałem z nim najlepszych wspomnień, ale byłem ciekaw, jak teraz wygląda.

Drzwi były na wpuł otwarte, zapukałem i wszedłem. W domu panował totalny bałagan, jakby ktoś wrzucił tam granat. W jednym pokoju siedział mój ojciec, wyglądał fatalnie.

Przywitałem się, a on mi powiedział, że właśnie policja zabrała ciało Ewy. Pili od paru dni i w końcu jej organizm nie wytrzymał i umarła. Kolejna ofiara alkoholu. Miałem dość Słubic, dość tego miejsca.

Z radością w ostatni dzień spakowałem się i wyjechałem do Poznania.

Czasem w jakieś święto zaglądałem do Słubic, odwiedzałem ojca, nawet pastor przyjeżdżał do niego, ale nic to nie dawało. Ku mojemu zdziwieniu moja mama zaczęła przychodzić do niego z ciepłym posiłkiem i czasem posprzątać, ale niestety jak tylko ojciec dostał rentę, ktoś się zawsze zjawiał u niego, kupowali alkohol i pili razem. Zanim tata nie odłączył telefonu, dzwoniłem do niego, żeby go wywieźć ze Słubic do ośrodka w Długiej Goślinie, ale nie chciał mnie słuchać. Był wyczerpany latami picia, nie chodził, chorował na polineuropatię (na skutek długotrwałego zażywania alkoholu witaminy z grupy B są wypłukiwane z organizmu, co jest bardzo niebezpieczne, chory z trudnością chodzi, bo choroba dotyka głównie kończyn). Ojciec niedojadał, pieniądze przeznaczał na alkohol, a kiedy mama zorientowała się, że ona go karmi, a on przepija rentę, przestała mu pomagać. Udało mi się kilka razy porozmawiać z nim o Jezusie i o tym, co dla mnie zrobił. Powiedziałem mu, że dla niego też jest nadzieja. Nie słuchał...

23 marca około 8.00 zadzwoniła do mnie mama. Nie zdążyłem odebrać, więc przysłała SMS — Franek nie żyje.

W ten dzień też pił, dał komuś pieniądze i wysłał go po wino, jak ten człowiek wrócił, ojciec już nie żył.

Mam w sercu wielki smutek, kiedy myślę o Słubicach, o mojej rodzinie, która zmaga się z tak wieloma kłopotami...

Od czasu, gdy powierzyłem moje życie Panu Jezusowi, wiele się wydarzyło, a kiedy patrzę na swoją rodzinę, to widzę bardzo wyraźnie, jak diabłu nie podoba się to, że ludzie żyją w wolności

i radości Bożej. Widzę, że Bóg zabrał ode mnie przekleństwo, zamieniając je w błogosławieństwo. Mam tego pełną świadomość. Czuję powagę sytuacji, kiedy myślę, że ode mnie zaczyna się nowa linia Bożego błogosławieństwa. Bóg o tym mówi w Liście do Galacjan 3,13.

Kiedy od kiedy sięgam pamięcią, w mojej rodzinie alkohol zawsze się przewijał i odcisnął straszne piętno, ale dobry Bóg postanowił to zakończyć, aby moja rodzina w przyszłych pokoleniach żyła pełnią życia w Bożym stylu!!!

Czasem jeszcze myślę wieczorami o ludziach ze Słubic. Niestety, to miasto kojarzy mi się też z cmentarzem, dużo osób już nie żyje, umarły zbyt młodo — w ten czy w inny sposób było to związane z narkotykami...

Stawałem coraz pewniej na nogi, czułem się wolny i szczęśliwy, każdy dzień był nowy, inny. Pracowałem, służyłem w Coffee House, poznawałem coraz więcej ludzi. Często czytałem Słowo Boże — zawsze będę powtarzał, że to relacja z Panem Jezusem uczyniła mnie na tyle silnym, żebym mógł żyć. Czasem opowiadam swoją historię: kim byłem, jak żyłem, o latach alkoholizmu, narkomani, więzieniu i ulicy. Często słyszę, że muszę być silny, że przez to przeszedłem i żyję, ale to nieprawda! Właśnie to, że kiedyś myślałem o sobie, że jestem taki twardy, taki superman, to właśnie zaprowadziło mnie na ulicę, a potem do więzienia. Alkohol i narkotyki skrzywiły mój obraz siebie samego i otaczającego mnie świata. Tak naprawdę byłem słaby i kryłem się za tym wszystkim.

Kiedy jesteś na haju, myślisz, że jest OK, świat, w którym żyjesz, wydaje ci się w porządku, ale to nieprawda!

Byłem tak słaby, że potrzebowałem Boga, żeby mnie z tego wszystkiego wyciągnął. Nie dokonały tego moja siła ani moc,

lecz Bóg! Zawołałem do Niego w swojej niedoli i niemocy, kiedy byłem na dnie, a On zawsze wiernie przychodził i wyciągał pomocną dłoń! Tylko dzięki Niemu dziś żyję!

Pan Jezus powiedział kiedyś: „To ja jestem drogą, prawdą i życiem”. (Ewangelia Jana 14,6)

I to jest właśnie ta droga, która daje życie — takie prawdziwe życie, nie jakąś wegetację z dnia na dzień, ale prawdziwe życie!

Bóg stał się dla mnie najlepszym dobrem, jakie mnie spotkało.

Z Nim zacząłem przeżywać przygody. Kocham podróżować i mógłbym to robić bez przerwy, ale kiedyś nie mogłem sobie na to pozwolić, bo albo nie miałem pieniędzy, albo więzy nałogów trzymały mnie w swojej niewoli. W ostatnim czasie zwiedziłem wiele miast, opowiadając wszystkim o tym, co Pan Jezus dla mnie zrobił!

Poznałem wielu wspaniałych ludzi, a przez lata otoczony byłem ludźmi takimi jak ja — uzależnionymi, myślącymi tylko o następnej działce. Teraz mam prawdziwych przyjaciół, na których mogę liczyć!!!

Moje życie wiele lat temu było trwaniem w nieustannym stresie przed policją. Odkąd pamiętam, miałem kuratora, właśnie wyszedłem z więzienia albo się przed nim ukrywałem. Słowem, policja zawsze miała powód, aby mnie zatrzymać. Kiedy funkcjonariusze przejeżdżali obok mnie, wołałem uciekać, bo zawsze miałem coś na sumieniu! Dzisiaj żyję inaczej, żyję uczciwie i cieszy mnie to. Policja nie ma mnie za co zatrzymać, nie ma żadnego powodu, aby wpaść do mnie o 6.00 rano i aresztować.

Kiedy pracowałem w ochronie, miałem zabawną sytuację. Podczas mojej porannej zmiany akurat było jakieś święto, więc musiałem jechać o wiele wcześniej niż zwykle. Była godzina 5.30, jak szedłem na przystanek. Było lato, więc byłem luźno

ubrany — koszulka sportowa bez rękawów. Byłem bardzo krótko ostrzyżony i miałem duży plecak. Nagle zza rogu wyjechał patrol policji. Widziałem, jak spojrzeli na mnie, i było dla mnie oczywiste, że zatrzymają mnie — chłopak ogolony na łyso, wytatuowany, z pełnym plecakiem o 5.00 rano na pewno wraca z włamania. Oczywiście zatrzymali mnie do sprawdzenia. Wzięli dowód i jeden z policjantów sprawdzał mnie przez komputer, a drugi spytał, co mam w plecaku.

Otworzyłem go i pokazałem: jedzenie do pracy i dwa przekłady Biblii. W tym czasie w komputerze wyskakiwała cała lista moich przestępstw, wyroków, grzywien itp. Zaraz mnie puścili, ale pamiętam to zdarzenie — zawsze mnie bawi!

Postanowiłem żyć uczciwie. Gdy dostałem swoją pierwszą wypłatę, to uklęknąłem przed Bogiem, podziękowałem mu za to, że mi pomaga, i pomodliłem się modlitwą Salomona:

Proszę Cię o dwie rzeczy,
Nie odmów mi, zanim umrę,
Oddał ode mnie fałsz i słowo kłamliwe,
Nie nawiedz mnie ubóstwem ani nie obdarz bogactwem,
Daj mi spożywać chleb według mojej potrzeby,
Abym będąc syty, nie zaparł się Ciebie
I nie rzekł: któż jest Pan?
Albo abym z nędzy nie zaczął kraść
I nie znieważył imienia mojego Boga.
(Przypowieści Salomona 30: 7-9)

Goniłem już w życiu za pieniędzmi i był czas, że je miałem, ale one nigdy nie dawały szczęścia — może przez chwilę czułem się jak gość, ale to było ulotne i chwilowe.

Jak nie masz pokoju w sercu, to nie masz nic!

Pieniądze szczęścia nie dadzą, owszem, są ważne, ale to nie jest cel naszego życia i ja teraz już też nie chciałem za nimi gonić. Pogoń za pieniędzmi zawsze doprowadzała do jakiegoś nieszczęścia.

Czasem rozmawiam z kimś na ulicy o wyjściu z bezdomności. Zadziwiające, jak bardzo ci nieszczęśliwi ludzie pokładają całą swoją nadzieję w pieniądzach. W jakiś sposób gonią za nimi, a im bardziej pokładają w nich nadzieję, tym bardziej pogrążają się w stanie bezdomności.

Mówię im czasem: — popatrz na Michaela Jacksona, Freddiego Mercurego, Tupaca. Można powiedzieć, że mieli wszystko: pieniądze, sławę itp., a jednak byli samotni, spragnieni miłości i umarli zbyt młodo, mając pełne konta!

Mówią, że jak zdobędą jakąś kwotę to zejdą z ulicy. Jeszcze nie spotkałem takiego przypadku...

Kiedyś, gdy mieszkałem i żyłem na ulicy, też myślałem, że forsa da mi wszystko, ale to kłamstwo.

Postanowiłem żyć uczciwie, a Bóg wynagradza uczciwość!!!

Któregoś dnia siedziałem na zmianie w ochronie i pamiętam, że wtedy przyszło do mnie przeświadczenie — byłem pewien, że od Boga — że czas na zmiany. Nie wiedziałem dokładnie, o co chodzi, ale postanowiłem iść za tym. Chodziło o pracę. Przyszedł czas, żeby się rozwinąć. OK, pomyślałem, ale nie wiedziałem co dalej? Zacząłem przeglądać ogłoszenia i zaczął mnie interesować temat szkoleń na wózki widłowe, więc zapisałem się na kurs. Nie wydałem na niego ani złotówki — mój Bóg postawił mi znów Władka, u którego mogłem dorobić po pracy przy roznoszeniu ulotek. Kobieta, u której wynajmowałem pokój, gdy dowiedziała się, że chcę iść na kurs, obniżyła mi rachunek za wynajem. I tak oto Bóg błogosławił moje finanse na realizację planu, jaki miał dla mnie. Kurs zrobiłem dość szybko, ale to tylko 10 godzin jazdy, więc nie umiałem

zbyt dobrze operować wózkiem widłowym. Zacząłem szukać pracy — w gazecie, przez internet, i zauważyłem, że do pracy na wózkach szukają, ale minimum z rocznym stażem! Raz oddzwonił do mnie jeden pracodawca, ale chciał zaświadczenie o niekaralności, więc nie było szans.

Po jakimś czasie poszukiwań (około 3 tygodni) moja przełożona z ochrony przyszła w czasie mojej pracy i powiedziała, że na godz. 13.00 mam iść do pana dyrektora.

Nie chwaliłem się ani nie kryłem się z tym, że szukam nowej pracy, więc spodziewałem się, że to o to chodzi. Poza tym na naszej zmianie było o jednego ochroniarza za dużo, przez co wszyscy mieliśmy mniej godzin pracy, a co za tym idzie, mniejszą wypłatę. Pomyślałem, że do dyrektora doszło to, że szukam nowej pracy, i w związku z tym da mi większą odprawę i zwolni. Kiedy odejdę, będzie regulaminowa liczba ochroniarzy i znów będą więcej zarabiać. O 13.00 zjawiłem się u dyrektora — przywitał mnie grzecznie i kazał mi usiąść.

— Słyszałem, panie Grzegorzu, że szuka pan pracy i chce nas opuścić — zaczął dyrektor.

— Tak, to prawda — odpowiedziałem, bo co miałem powiedzieć?

— To ja mam dla pana propozycję. Dowiadywałem się o panu i wszyscy pana chwalą. Dlatego chciałbym pana przenieść na magazyn. Będzie pan tam jeździł na wózku widłowym. Zgadza się pan?

— Tak, zgadzam się!!! — odpowiedziałem, a w duchu podskoczyłem z radości!!!

Z biura wyszedłem szczęśliwy. Nawet lubiłem ochronę, ale było to nudne zajęcie, a poza tym pracowałem w dzień i noc, w święta, weekendy, a tu 8 godzin pracy, 5 dni w tygodniu, wolne weekendy i święta, większa pensja! Tak Bóg pomógł mi pójść dalej z pracą. To był Jego plan, a ja tylko w niego wszed-

łem. Dał mi pieniądze, sam od siebie ani złotówki nie wydałem, szukałem pracy po ogłoszeniach, a ona była w mojej firmie, a co najciekawsze, nikt znów nie chciał ode mnie zaświadczenia o karalności!!! Ochroniarz, magazynier — to prace, w których wymagane są zaświadczenia o niekaralności, a ode mnie nikt tego nie chciał!!!

Tak właśnie działa Bóg. Jak On ma plan, to jest to najlepszy plan.

Ale była jeszcze jedna sprawa z przeszłości niezalutwiona, która nie dawała mi spokoju — Sonia, moja córka. Nie wiedziałem dokładnie, co się z nią dzieje, słyszałem różne plotki, że Maja wyszła za męża i gdzieś wyjechała, ale jak to były plotki...

Od dnia, kiedy rozstałem się z Mają, wiele się w moim życiu wydarzyło, ale codziennie myślałem o Soni, kiedy zacząłem się modlić, prawie codziennie ją wspominałem.

W końcu postanowiłem poszukać z nimi kontaktu. Na szczęście żyjemy w czasach Internetu i człowieka nie jest tak trudno znaleźć, nawet na drugiej półkuli. I tak też się stało. Znalazłem Maję na jednym portalu internetowym i nawiązałem z nią kontakt. Na początku podeszła do mnie nieufnie. Napisałem jej, że wiele się zmieniło i już nie jestem tym Grześkiem, co kiedyś. Uwierzyła mi.

Przeprasilem ją i błagałem o wybaczenie. Wybaczyła!!!

Zacęła opowiadać, co u niej, że faktycznie wyszła za męża, wyjechała z kraju, ma rodzinę i jeszcze jedno dziecko. Opowiedziała mi, co się dzieje z Sonią. Była to bardzo dobra i oczyszczająca rozmowa, po czym życzyliśmy sobie wszystkiego, co najlepsze.

Sonia ma się dobrze, jest szczęśliwa, kocha i jest kochana. Męża Mai traktuje jak ojca, a on ją jak swoją córkę, mnie nie pamięta. Cieszę się, że jest bezpieczna i szczęśliwa, zasługuje na to, a całej jej rodzinie życzę jak najlepiej i modłę się za nich.

Postanowiłem nie wchodzić w ich życie, zwłaszcza, że Sonia mnie nie pamięta, może przyjdzie dzień, że jej powiedzą o mnie, a może nie. Nie wiem. Ale Kocham Sonię i zawsze będę w moim sercu, zawsze będę na nią czekał!

Jeśli masz rodzinę i dzieje się coś złego, nie rezygnuj — walcz!!!

1 czerwca, w dzień dziecka, w czasie pracy wszedłem po coś do elektryków, oczywiście była mowa o dzieciach i nagle jeden z nich spytał mnie, gdzie jest moje dziecko.

Nie byłem na to gotowy i szczerze odpowiedziałem, że odeszli ode mnie, a on na to

— O gościu, musiałeś być niedobry.

Wszedłem stamtąd i miałem taką wizję, trwała ona ułamek sekundy: stoję na skale, od tyłu związany liną w pasie, przede mną przepaść i następna skała, na tej skale stoi krzyż, pusty, i w środku krzyża płonie żółto-pomarańczowy płomień. Robię krok w stronę tego krzyża, a lina, którą byłem związany, rozplątuje się i spada ze mnie.

Wiedziałem, że dzięki Jezusowi jestem wolny, wolny od wszelkich oskarżeń związanych z Sonią. Wiele razy miałem kompletnego doła związanego z tym, jak potoczyły się losy mojej rodziny, często cierpiałem, myśląc, że nawet nie wiem, co się dzieje z moim dzieckiem. Szatan (po przetłumaczeniu imię to znaczy „oskarżyciel”) często to wykorzystywał, żeby mnie dręczyć, ale koniec z tym. Pan Jezus mnie uwolnił!!!

Bóg według swojej obietnicy, że wynagrodzi mi szkody lat, wiernie działał swoją mocą. Pomagał mi odnaleźć się w nowym życiu. 18 kwietnia 2013 roku minęło 5 lat, od kiedy wszedłem z więzienia. Dużo się zmieniło. Przestałem ćpać i pić, uczciwie pracowałem i żyłem życiem, o którym wcześniej mogłem

tylko śnić. Postanowiłem napisać do sądu o wymazanie całej mojej karalności. Sąd postanowił wniosek rozpatrzyć. Miałem przesłuchanie u kuratora, policja przyjechała na wywiad środowiskowy. Przez kilka tygodni czułem się jak za dawnych dni policja, kuratorzy, co chwilę pisma z sądu, tylko że teraz było już inaczej. Nie bałem się, że coś złego się wydarzy, że znów będą kłopoty. Nie, byłem spokojny i ufny, że to dobrze się skończy. Efekt był taki, że wszyscy wystawili mi pozytywną opinię i kilka dni po rozprawie przyszło pismo z sądu, że uznają mnie za człowieka, który przeszedł resocjalizację i dlatego postanawiają wymazać całą moja dotychczasową karalność!!!

Chwała Bogu!!! Tylko Jego łaska mogła mi pomóc tak zmienić moje życie!!! Od kiedy pamiętam, zawsze miałem do czynienia z policją, zawsze o coś mogli się do mnie doczepić, kuratorzy często pukali do moich drzwi, a w skrzynkach pocztowych regularnie były jakieś wezwania na przesłuchania, kary, grzywny itp.

A teraz koniec z tym raz na zawsze. Jestem niekarany!!!

To właśnie Boża miłość sprawiła, że doszedłem do tego momentu w swoim życiu, to On odmienił moje życie.

Na czele

15

Był taki moment w moim życiu, że zacząłem odczuwać dziwną pustkę w sercu, niby wszystko było w jak najlepszym porządku, ale jednak brakowało mi czegoś. Doszedłem do pewnego momentu w mojej służbie w Coffee House, gdy poczułem, że potrzebuję więcej nauki, że stanąłem na jakimś etapie rozwoju i jak nie ruszę do przodu, to ta pustka mnie pochłonie. Zacząłem się modlić, a jednocześnie pytać ludzi, czy nie chcieliby mnie czegoś nauczyć. Chodziłem do liderów i starszych kościoła z tym pytaniem, ale jakoś nic się nie działo.

Po kilku tygodniach pojechałem na spotkanie Stowarzyszenia Gedeonitów do Gniezna. Jechałem tam z Darkiem, pastorem kościoła w Obornikach. Właściwie dopiero go poznałem, wcześniej gdzieś się mijaliśmy, ale jakoś nie nawiązaliśmy kontaktu. W ten dzień, jadąc razem z nim autem, zwierzyłem mu się z tego, co czuję. Powiedział mi, że u niego w Obornikach jest co srodę spotkanie grupki, na którym można rozważać Słowo Boże, rozmawiać o nim i w ogóle budować swoją wiarę. Bardzo chciałem się tam znaleźć i tak zaczęła się moja wspaniała przygoda z kościołem w Obornikach Wlkp. Kiedy przyjeżdżałem częściej do Obornik, poznałem chłopaków i wpadałem do nich na weekendy, a że było to lato, więc często wychodziliśmy do miasta, a jak już wyszliśmy, to często nam się zdarzyło rozmawiać z ludźmi stojącymi pod sklepami, z butelką w ręce, bądź po prostu żebrzących. Wielką rolę odegrał tu Paweł, chłopak z Obornik o bogatej przeszłości, który dzięki spotkaniom nawrócił się i zaczął nowe życie z Jezusem, stając się osobą wolną od

wszystkich nałogów. Kiedy szliśmy na miasto z Pawłem, spotykaliśmy ludzi, którzy kiedyś z nim pili, i gdy go widzieli, to wręcz krzyczeli — to ty żyjesz? Byli w szoku, że Paweł nie tylko żyje, ale i nie pije, więc kiedy tylko razem wyszliśmy, to zawsze trafiała się okazja do rozmowy o Jezusie i nowym życiu.

Nieśmiało zaczęła mi kielkować myśl, żeby może tam stworzyć Coffee House. Któregoś dnia Darek zachęcił mnie do tego. Prawdę mówiąc, to była to kropka nad „i”.

Z Gosią i Karolem rozmawialiśmy o naszym pomysle i oni, wzorem pierwszych apostołów, pościli i modlili się o to. Kiedy spotkaliśmy się po kilku dniach, uznali, że to, co chcę robić w Obornikach, jest dobre, pobłogosławili mnie i zapewnili pełne wsparcie! Dla mnie było bardzo ważne, że miałem ich aprobatę i zostałem przez nich pobłogosławiony do tworzenia Coffee House w Obornikach.

A w Obornikach mieliśmy już ekipę: Maciej, Paweł, Alan i ja, później grupa się powiększyła.

Modliliśmy się i jednocześnie zaczęliśmy ustalać plan naszego działania. Chciałbym tu nadmienić, że od pierwszej chwili aż do teraz miałem i mam świadomość Bożego prowadzenia nas.

9 września 2012 roku odbyło się nasze pierwsze spotkanie grupy Coffee House Oborniki Wlkp!

Chłopaki zdecydowali, że będę liderem, a we wspólnej modlitwie ogłosiliśmy, że głównym liderem naszej grupy jest Pan Jezus.

Było dla mnie wielkim zaszczytem i honorem być członkiem Coffee House w Obornikach. Jest to dość trudna służba. Spotykaliśmy się raz w tygodniu, wychodziliśmy na miasto, starając się dotrzeć do osób bezdomnych i uzależnionych i zaprosić ich na spotkania, które odbywały się w ten sam dzień. Jeśli udało nam się kogoś zaprosić, to czekaliśmy na tę osobę. Różnie to

bywało, ale kiedy ktoś przyszedł, poświęcaliśmy mu uwagę, opowiadając przykłady, jak Jezus może pomóc, a że mieliśmy najczęściej do czynienia z osobami uzależnionymi i bezdomnymi, to zachęcaliśmy ich też do podjęcia próby leczenia w chrześcijańskim ośrodku. Czasem trzeba było dużo cierpliwości, zanim taka osoba się zdecydowała, więc nieraz tylko modliliśmy się o tych ludzi, żeby podjęli właściwą decyzję.

Pokochałem tę pracę, choć czasem wymagała wielkiego samozaparcia i cierpliwości. W takich ciężkich chwilach przypominałem sobie, ile Pan Jezus miał cierpliwości, czekając na mnie!!!

Przez jakiś czas jeździłem do Obornik, także uczestniczyłem w poznańskich spotkaniach, ale niestety nie mogłem tego pogodzić i zdecydowałem się opuścić kochany Poznań, żeby móc w pełni zacząć służyć w Obornikach. Nadal mieszkalem i pracowałem w Poznaniu, ale to Oborniki stały moim domem, tam zyskałem wspólnych przyjaciół i dobrze się czułem, a tamtejsza wspólnota stała się moją duchową rodziną!!! Byłem dumny, że mogę tam być!!!

Bóg dzień po dniu ubogaczał mnie, uzdrawiał i uwalniał, dzięki Niemu mogłem cieszyć się wolnością, mogłem być sobą przy Nim i nie musiałem udawać, przecież On i tak mnie zna! Gdy byłem nastolatkiem, w subkulturze depeszy udawałem kogoś, kim nie byłem, ubierałem się, zachowywałem jak mój idol i tak się w tym pogubiłem, że nie wiedziałem, kim jestem naprawdę. Wiele czasu zajęło mi odnalezienie siebie. Swoją tożsamość znalazłem przy Bogu. On zaakceptował mnie takiego, jakim jestem, czasem miałem lepsze dni, czasem gorsze, ale przy Nim mogłem być szczery.

Może dziś i ty, który to czytasz, masz swojego idola i tak jak ja kiedyś jesteś jego wierną kopią. Porzuć to, żyj swoim włas-

nym życiem i ciesz się nim, jesteś wyjątkowy i oryginalny, nie musisz nikogo udawać ani na siłę się komuś podobać. Dla Boga jesteś wspaniały (wspaniała), to On cię stworzył dokładnie takim, jakim chciałby, abyś był (była). Mówi o tym Psalm 139, koniecznie go przeczytaj.

Może myślisz, że nikogo nie obchodzisz. Ja też tak kiedyś myślałem, byłem przekonany, że moje życie nikogo nie obchodzi, ale pomyśl, Pan Jezus przyszedł na ten świat, żeby pokazać ci, jak bardzo cię kocha. On umarł na krzyżu za wszystkie twoje grzechy po to, abyś ty mógł (mogła) żyć wiecznie z nim. Pokazał, jak kochać i być kochanym. W Słowie Bożym mamy wszystko, czego nam potrzeba. Kiedy w więzieniu pierwszy raz przeczytałem Nowy Testament, stwierdziłem, że każdy powinien go przeczytać, choćby tylko po to, żeby wiedzieć, jak ma żyć!!!

Uzdrowienie

16

Chciałbym również podzielić się historią o tym, jak Jezus mnie uzdrowił. W 2013 roku byłem na Slocie. Slot Art Festiwal jest to trwający ok. tygodnia festiwal, który odbywa się w Lubiążu w wielkim zamku i ma charakter muzyczno-artystyczny. Jeśli jeszcze tam nie byłeś, to koniecznie się tam wybierz! Naprawdę warto!

Rok wcześniej podczas gry w piłkę miałem niefortunny wypadek. Wybiłem się wysoko do góry za piłką i spadając, dosłownie odbiłem sobie piętę. Poczulem, jakbym ją sobie rozbił na kawałki, więc od razu zszedłem z boiska. Mieszkałem obok, więc pokuśtykałem od razu do domu. Pięta bolała coraz bardziej, więc zacząłem przerzucać ciężar ciała na drugą nogę, ale nagle i ta zaczęła mnie boleć. Na drugi dzień obie pięty bolały mnie, jakby były od środka odbite. W pracy muszę używać specjalnych butów z metalową wkładką w podeszwie — jest to specjalne zabezpieczenie chroniące przed wypadkami, np. nadeptaniem na gwóźdź — i to tylko pogarszało sprawę. Przez następny rok modliłem się o nogi, smarowałem je różnymi maściami i moczyłem. Kupiłem solidne buty z miękką podeszwą, używałem specjalnych wkładek do butów roboczych i nic.

Ból raz był większy raz mniejszy, ale zawsze mi towarzyszył. Ponadto musiałem zrezygnować na ten czas z aktywności sportowej, co samo w sobie było dla mnie męczarnią. Z czasem jakoś przyzwyczaiłem się do tego bólu.

Latem 2013 roku pojechałem na Slot. W zamku jest wiele pomieszczeń, które są wykorzystywane podczas festiwalu. Jedno z nich, sala modlitwy, jest miejscem, gdzie każdy może

przyjść, żeby modlić się o uzdrowienie albo o sprawę, z którymi się zmagam. Często się tam kręciłem i jednego dnia zobaczyłem przed wejściem jednego z liderów modlitw o uzdrowienie. Kiedy tak na niego popatrzyłem, poczułem pokój i przekonanie, że bym za nim poszedł, więc to zrobiłem i w kilku słowach powiedziałem mu o bólu w piętach.

Kiedy zaczął się modlić o moje nogi, czułem, że coś się wydarzy. Jego modlitwa była bardzo krótka, coś w stylu: „chorobo, w imieniu Jezusa nakazuję ci wyjść”. I to wszystko. Spytał, czy coś czuję. Odpowiedziałem, że czuję, że coś się wydarzyło we mnie, a on odpowiedział, że jeśli wierzę, że Jezus mnie uzdrowił, to mam wstać i iść, i opowiedzieć o tym 10 napotkanym osobom.

Posłuszny temu słowu poszedłem i tak zrobiłem. Zaczepiłem 10 osób, które akurat napotkałem, i opowiedziałem im, że Jezus mnie uzdrowił.

Kiedy doszedłem do 10. osoby, bólu już nie czułem i więcej już nie wrócił!

Tak oto Pan Jezus mnie uzdrowił.

Na Slocie widziałem bądź słyszałem o wielu uzdrowieniach, więc najlepiej będzie, jak sam tam pojedziesz i doświadczysz tego. Slot jest bardzo pozytywnie zakreconą imprezą i nie zdziw się, gdy ktoś cię nagle zaczepi i opowie ci podobną historię. Jednak Bóg nie działa tylko na Slocie — działa wszędzie i zawsze. Tam, gdzie teraz jesteś, możesz modlić się o uzdrowienie, a stanie się według twojej wiary, bo to twoja wiara wyzwala Boże działanie. Jest taka historia w Biblii, o schorowanej kobiecie, która przychodzi do Jezusa i prosi o uzdrowienie. Zdziwiająca może wydawać się odpowiedź Pana Jezusa: „ufaj, córko, wiara twoja uzdrowiła cię”. Historia ta jest opisana w Ewangelii Mateusza 9, 20-22.

Zakończenie

Moje życie dzięki Bogu jest wartościowe i wspaniałe, dostrzegam w nim wiele radości. Czasem wspominam dawne dni: dzieciństwo, młodość i to wszystko, o czym pisałem wcześniej. Już nie pytam, dlaczego mnie to wszystko spotkało. Dziś wiem, że musiałem to przejść, żeby pozwolić Bogu na ingerencję w moje życie, a wszystkie wcześniejsze doświadczenia wykorzystuję w służbie, rozumiem ból ludzi bezdomnych i uzależnionych, wiem, przez co przechodzą, bo i ja tę drogę przechodziłem. Dzięki temu mogę dziś lepiej służyć Bogu i tym ludziom!!! Moje życie ma cel.

Moja walka o wolność jeszcze się nie skończyła. Mam swoje deficyty i braki, nie jestem idealny, ale ciągle walczę i wiem, że Bóg w końcu wypali we mnie to, co złe, i będę takim, jak On chce, abym był.

Ciągle z mieczem w dłoni wywalczam swoją Ziemię Obiecaną, ale tym razem Bóg jest po mojej stronie, a Słowo Boże mówi, że jeśli Bóg z nami, to kto przeciwko nam!!! W Nim jesteśmy zwycięzcami, może nieraz trzeba będzie się ostro napocić, ale w końcu do zwycięstwa potrzebny jest wysiłek!

Czasem też przechodzę ciężkie chwile, jakieś kryzysy, doświadczenia i tym podobne. Prawda jest taka, że Bóg nigdy nie mówił, że tak nie będzie, a czasem wręcz przeciwnie. Mogę za to śmiało wierzyć w jedną rzecz na pewno — jest ona w Psalmie 23: „Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś Ty ze mną”. (Psalm 23,4)

Bóg nie mówi, że nie będzie w naszym życiu ciemnych dolin (czyli kłopotów), ale zapewnia, że On będzie z nami w nich i nas przez to przeprowadzi!!!

Pomyśl o tym, Bóg jest zainteresowany każdą dziedziną Twojego życia i chce ci towarzyszyć zawsze, nie tylko wtedy, kiedy jest OK, nie opuści cię, gdy jest źle. Bóg jest jak ojciec, pragnie być z tobą zawsze i wszędzie, pocieszyć, ale też pouczyć. Przede wszystkim jak dobry ojciec zawsze chce cię kochać, a najlepsze, co my możemy zrobić, to odpowiedzieć na tę miłość!!!

Ja długo błądziłem w życiu, wylądowałem w więzieniu, musiałem wszystko stracić, żeby zrobić w sercu miejsce dla Boga. Może uznasz to za szaleństwo, jeśli stwierdzę, że najlepsze, co mnie w życiu spotkało, to właśnie to, że trafiłem do więzienia!!! Tam poznałem Pana Jezusa!!!

To tam oddałem Mu swoje życie, to tam pierwszy raz przeczytałem Nowy Testament i zachciało mi się żyć. Gdybym tam się nie znalazł, nigdy bym nie poznał Jezusa.

Mamy rok 2014, a Bóg działa w moim życiu. Miałem jeszcze jedno pragnienie: rodzinę. Modliłem się o żonę, ale długo nic się nie działo. Właściwie zacząłem myśleć, że Bóg powołuje mnie do życia w samotności. Co prawda miałem kilka znajomości po przyjeździe do Poznania, lecz nic z tego nie wychodziło, a i ja sam czułem, że to jeszcze nie to. Któregoś razu nawet modliłem się, mówiąc:

— Panie, jeśli mam być sam, to w porządku, ale wypełnij moje życie tak, żebyśmy nie czuli się sami.

I faktycznie, moje życie nabrało tempa, zacząłem trochę jeździć po Polsce, dzieląc się swoją historią, ale zawsze po powrocie do domu czułem tę dobrze znaną mi pustkę. Na początku 2013 roku w kościele w Obornikach mieliśmy czas 21-dniowego

postu, który polegał na odmawianiu sobie smakołyków i odcinaniu się od rzeczy przyjemnych. W połowie tego postu, po nabożeństwie podszedł do mnie pastor Darek i powiedział, że ma dla mnie słowo od Pana i przeczytał mi je. Było z Księgi Mojżeszowej, mówiło o tym, jaką żonę powinien posiadać kapłan Boży. Modliliśmy się wtedy dużo o świętość i czystość naszego zboru, więc potraktowałem to jak wskazówkę od samego Boga, jakiej mam szukać kobiety. Bóg już ją dla mnie miał — na drugi dzień ją poznałem!

Monika — o niej mowa. Bóg dał mi ją w ten czas. Poznaliśmy się dość oryginalnie i szczegóły zostawię dla siebie, ale dość szybko znaleźliśmy wspólny język i stwierdziliśmy, że chcemy być ze sobą. Oświadczyłem się jej (przyjęła!!!) i postanowiliśmy resztę naszego życia spędzić razem. Teraz, kiedy to piszę, planujemy ślub i resztę naszego życia.

Monika ma takie pragnienia jak ja. Chce być szczęśliwa, kochać i być kochana, ale co mnie w niej od razu ujęło, to fakt, że chce poświęcić swoje życie, służąc Bogu!

Bóg wiele dobrego uczynił w moim życiu i całkowicie je odmienił. Kiedy Go jeszcze nie szukałem, On już czuwał nade mną, żeby nie umarł w jakiejś melinie albo nie popełnił samobójstwa. Zbawił mnie ode mnie samego i jestem mu za to wdzięczny!

Bóg też wkłada w moje serce pasję służenia Mu, poznawania nowych ludzi. Mam wielkie pragnienie, którym jest jeździć wszędzie gdzie się da, zwiastować Bożą miłość, i wiem, że On spełni to marzenie. Bóg już dał mi Monikę, która też chce tego co ja. Jestem pełen nadziei, że i to marzenie zostanie zrealizowane!!!

Pan Jezus jest przede wszystkim życiem. To On mnie uratował i zbawił mnie, poświęcił siebie, żeby zniszczyć każdy mój grzech!!!

Kiedy byłem na samym dnie i wszyscy we mnie zwątpili, nawet ja sam zwątpilem w siebie, On nigdy ze mnie nie zrezygnował. Dał mi siłę do walki i motywację. Czuję Go wokół siebie, a kiedy otwieram Biblię, mówi do mnie przez swoje Słowo, poucza mnie nim, koryguje, pociesza i zachęca.

Ewangelia Jana mówi, że Jezus jest drogą, prawdą i życiem — i to jest właśnie Jezus, którego znam, kocham i podziwiam.

Jest On moją drogą, która mnie prowadzi zawsze ku lepszemu; prawdą, bo Jego prawdy okazały się dla mnie zbawienne i stworzyły mnie na nowo. Jego nauki dały mi nowe życie i wartości, którymi się kieruję; życiem, bo w Nim odnalazłem sens życia, moje życie stało się obfite, radosne i pełne różnych wyzwaniań, życie o którym zawsze marzyłem, życie którego zawsze chciałem doświadczyć.

Ale to, co mnie najbardziej urzeka w Jezusie, to fakt, że On jest naprawdę realny i zainteresowany ludźmi zagubionymi, tymi, którzy cierpią i stracili sens życia. Nie tylko w Biblii o tym czytam, mam wielu przyjaciół, którzy potwierdzają, że Jezus im pomógł, a ja jestem tego żywym świadectwem.

Wiele w życiu złego zrobiłem, a Jezus nie zwątpił we mnie.

Wiele razy mi pomagał, ja tę pomoc brałem, a kiedy przez chwilę poczułem się lepiej i zacząłem robić po swojemu, Jezus cierpliwie czekał.

Wielu ludzi, włącznie ze mną, postawiło na mnie krzyżyk, a On mimo to zajął się mną!

Jego łaska i miłosierdzie nie mają granic!

Słowo Boże mówi, że wszyscy zgrzeszyliśmy i jesteśmy usprawiedliwieni za darmo, z Jego łaski, przez odkupienie w Chrystusie Jezusie, którego Bóg ustanowił jako ofiarę przebłagalną przez Jego krew (List do Rzymian 3: 23-25). I to jest sedno Ewangelii, czyli dobrej nowiny dla mnie i ciebie, który to czytasz.

Jesteśmy grzesznikami, buntownikami przeciw Bogu! Potrzebujemy ratunku od tego, kim jesteśmy. Nasze wysiłki, nasza moralność i religijność nie przeniosą nas do Jego królestwa! Wszystkie nasze uczynki są jak splugawiona szata (Księga Izajasza 64: 6) — tak Bóg widzi nasze czyny. Jest tylko jedna droga do Boga — Jezus. On, bezgrzeszny, czysty Syn Boży stał się jedyną ofiarą przebłagalną za nasze grzechy. Jezus złożył siebie samego w ofierze na krzyżu za nasze grzechy po to, aby nas z nich oczyścić. Nie ma innej drogi zbawienia jak śmierć Jego za nas. Pomyśl, Jezus na krzyżu przelał swoją krew dla naszego ratunku!

Nasze uczynki nie są w stanie nas zbawić, choćbyśmy nie wiadomo ile robili i nie wiadomo jak bardzo chcielibyśmy na to zapracować — i tak nie damy rady. Jeśliby tak mogło być, to Jezus niepotrzebnie umarł za nas na krzyżu.

Całą swoją wiarę ulokuj w łasce. Łaska to coś, na co nie zasłużyliśmy, a jednak została nam okazana. Cała lista naszych win i grzechów została wykasowana dzięki łasce. Nie zasłużyliśmy na to dobro, a jednak je otrzymaliśmy!

Czasem opowiadam ludziom na ulicy, że gdyby Jezus dziś chodził tak fizycznie po świecie, to częściej byśmy go zobaczyli wśród ludzi na dworcach, w melinach, więzieniach, szpitalach niż w kościele lub wśród ludzi zadowolonych z siebie... Jezus jest wszędzie tam, gdzie brak nadziei — On jest tą nadzieją.

Zaufaj.

Koniec...???

A może dopiero początek???

Bóg naprawdę wynagradza szkody lat, których plony pożarła szarańcza, konik polny, larwa i gąsienica... (Księga Joela 2:25).

Coś na pożegnanie

Może w mojej historii odnalazłeś cząstkę siebie, może życie cię nie rozpieszcza, pogubiłeś się i nie wiesz, co zrobić?

Może próbowałeś już tak wielu rzeczy jak ja i nic nie daje ci ukojenia?

Może alkohol bądź narkotyki niszczą twoje życie?

Może jesteś zagubiony w życiu, siedzisz w więzieniu albo na ławce i czujesz, że życie nie ma sensu, że umyka ci dzień za dniem?

Może czujesz beznadziejność i bezsens wszystkiego...

A może nie jesteś uzależniony? Może masz dom, pracę i wszystko, co powinien mieć człowiek?

Nie wiem, kim jesteś ty, który to czytasz, i z czym się zmagasz.

Dzisiejszy świat jest szybki i zwariowany, ciężko być sobą i mieć pokój w całym tym chaosie, który jest wokół nas. Diabeł oferuje dziś wiele rozrywek, kłamiąc, że wszystko ci się należy, że wszystko można, a nawet wszystkiego trzeba spróbować.

Powiem ci, że diabeł pokazuje jedną stronę medalu, drugą ukrywa, a jej nazwa to „konsekwencje”! Wszystko, co robisz, będzie miało swoje konsekwencje.

Nie chcę cię pouczać, ale raczej powiedzieć, że jeżeli robisz coś, co jest złe, to porzuć to!

Mogę ci dać jedną, ale najlepszą radę, jaka mam: zawołaj do Jezusa, żeby zmienił twoje życie, a On na pewno cię wysłucha i zbawi.

Jezus cię kocha, umarł za twoje grzechy — wszystkie! Te duże i te małe!

Jest tobą zainteresowany zawsze, nie tylko wtedy, kiedy jest dobrze, ale też wtedy, kiedy jest źle.

Nie ma takiego grzechu ani takiego brudu, z którym On by sobie nie poradził!

Jezus to nie jakaś historia z zamierzchłych czasów, to realny żywy Bóg, którego ja doświadczyłem i doświadczam, i jest to realny dla ciebie!

To, co przeczytałeś, nie jest tylko moją historią, lecz — mam nadzieję — zachętą dla ciebie, żebyś zawalczył (zawalczyła) o siebie!

Byłem kiedyś jak ten łotr, który wisiał obok Jezusa na krzyżu, i tak jak on zawołałem do Niego, a Jezus odpowiedział!

Nic od siebie nie mogłem dać Bogu (Biblia mówi, że jesteśmy zbawieni dzięki łasce, a nie z powodu naszych dobrych uczynków!), a On odmienił mój los i to jest też realne dla ciebie!

Ja, który kiedyś byłem narkomanem, alkoholikiem i z nikim się nie liczyłem, a miałem wszystkich i wszystko w pogardzie, jednak zostałem przez Jezusa uratowany.

Jeśli pragniesz Go poznać, to pomódl się do Niego już dziś, nie odkładaj tego na jutro, bo przeciwnik, diabeł, ukradnie ci to pragnienie. Jemu zależy, żebyś nigdy nie poznał wspaniałej Bożej miłości!!!

Wyznaj Bogu wszystkie swoje grzechy i poproś Go o przebaczenie, pokutuj, a potem wstań i zacznij nowe życie z Jezusem, czytaj Biblię i poznawaj swojego Zbawiciela.

Pójdźcie za Jezusem jest drogą pełną poświęceń i wyrzeczenia się tego, co ten świat oferuje, ale naprawdę warto za Nim iść!!! Przyjdzie dzień, że wszyscy staniemy przed Bożym sądem i będzie liczyć się tylko to, czy przyjęliśmy ofiarę Pana Jezusa.

Zostaw wszystko, co jest grzechem w Twoim życiu, każdą nieprawość, nałóg itp.

Jezus rozprawił się z tym wszystkim na krzyżu, kiedy umarł za wszystkie nasze grzechy!

On zmartwychwstał, pokonując grzech i śmierć! Przełwał swoją krew dla naszego zbawienia. Nie ma innej drogi ratunku.

On powiedział:

Jeśli kto chce pójść za mną, niechaj się zaprze samego siebie i bierze krzyż swój na siebie codziennie i naśladuje mnie.

(Ewangelia Łukasza 9,23)

Zostań jego uczniem. Uznaj Go swoim zbawicielem, ratunkiem, pomocą i nadzieją!

Jezus mówi o sobie:

Ja jestem drogą i prawdą, i życiem.

(Ewangelia Jana 14,6)

Pójdź za Nim.

Zrób to już dziś, teraz.

Pomódl się tak:

Panie Jezu, moje życie bez Ciebie nie ma sensu.

Potrzebuję Cię.

Proszę, weź wszystkie moje grzechy i zbaw mnie.

Daj mi nowe życie i prowadź mnie w nim!!!

Amen!!!

Wierz mi, Jezus na pewno na to odpowie.

Spis treści

Wstęp • 7

1. Dom • 9
2. Depeche Mode • 17
3. Toxic epidermal • 22
4. Złodziej • 26
5. Narkoman i lekoman • 31
6. Pierwsza terapia i rodzina • 38
7. Nawrót • 42
8. Druga terapia — Bóg • 46
9. Więzień • 48
10. Jezus i Biblia • 52
11. Bezdomny alkoholik • 58
12. Trzecia terapia — nawrócenie • 63
13. Czwarta terapia — nowe życie • 69
14. Prawdziwe nowe życie • 75
15. Na czele • 95
16. Uzdrawienie • 99

Zakończenie • 101

Coś na pożegnanie • 107

